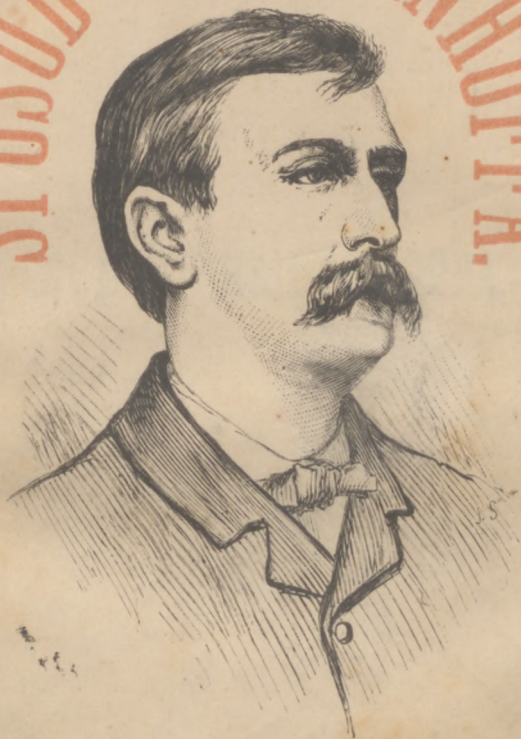


SPOSOB D^{ra} HEIDENHOFFA.



Edward Bellamy.

Cena

NAKLAD „GŁOSU”.

50 kop.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



THE UNIVERSITY OF CHICAGO

1892

SPOSÓB D^{-ra} HEIDENHOFFA.

GEORGE D. HEIDENSOFF

2622561

SPOSÓB

D^{ra} HEIDENHOFFA.

NAPISAŁ

Edward Bellamy.

ODBITKA Z „GŁOSU“.

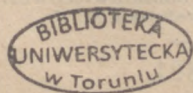
WARSZAWA.

DRUKIEM MARYI ZIEMKIEWICZOWEJ.
Krakowskie-Przedmieście Nr. 17.

—
1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Мая 1891 г.

R 51.172



1338655

I.

Wskazówka zegara, zawieszona na białej ścianie modlitewni, tuż ponad tablicą, noszącą napis: „pójdź do Jezusa!”, oraz pomiędzy dwiema innymi podobnymi tablicami o napisach: „chodźcie do Mnie” i „Pocieszyciel Dziwny”—dobiegała właśnie dziesięciu minut do dziewiętej. W porze tej, jak to było we zwyczaju Newillskich zgromadzeń pobożnych, nastąpiła długa chwila ciszy. Etatowi przewodnicy tych nabożeństw odegrali już byli zwykłą swą rolę, dla każdego zaś z pozostałych przewodniczenie w modłach albo kazaniu byłoby czemś tak niezwykłym, jak dla owych codziennych przewodników — uchybienie temu obowiązkowi. Uczestnicy bowiem Newillskich zgromadzeń pobożnych dzielili się ściśle na dwie klasy: mówców, oraz słuchaczy i, z wyjątkiem tylko czasów szczególnego ożywienia albo zajęcia, jak najsumienniejsze przestrzegano tej różnicy.

Dyakon Tuttle modlił się już i kazał. Dyakon Miller kazał już i modlił się. Brat Hunt uzupełnił pewien punkt w kazaniu z ostatniej niedzieli. Brat Taylor zwrócił uwagę na świeży wypadek śmierci w miasteczku, jako na przestrożę dla grzeszników, zaś siostra Morris modliła się dwukrotnie; przyczem, potrze-

ba uznać, za drugim razem czyniła to z pewnym widocznym rozdrażnieniem w głosie, jak-gdyby chciała dać do zrozumienia, że robi więcej, niż ma się prawo od niej spodziewać. Jeżeli jednak nadzwyczaj nieprawdopodobnym było, iżby ktokolwiek inny z dwudziestu czy trzydziestu zgromadzonych uczuł się powołanym do przerwania ciszy, nawet w razie zapadnięcia się sklepienia, to, z drugiej strony, zakończenie nabożeństwa przed wybiciem godziny dziewiątej na zegarze młyńskim uważanoby za niebezpieczną innowację. To też należało tylko w przyzwoitem milczeniu przeczekać pozostałe dziesięć minut.

Zegar cykał tymczasem z ową intonacją urzędową, tak charakterystyczną w aparatach, mierzących czas święty i chwile traconej sposobności. Niekiedy pastor—z miną niewiniątka, które dopiero co zauważyło ciszę, robił uwagi: „Jeszcze jest sposobność... Czas upływa, bracia... Może który z braci lub sióstr... Radzibyśmy jeszcze kogo posłyszeć.” Dzierżawca Bragg, zmęczony całodziennem kopaniem, chrapał spokojnie w kącie ławki. Pani Parker upuściła książkę do nabożeństwa. Mały Tanny Blake, który, zdrzemnąwszy się, upadł i stłukł sobie nos, wydawał teraz charakterystyczny świst przy oddychaniu. Magdalena Brand, usiadłszy pod organami u stóp pulpitu kościelnego sługi, maskowała lekkie ziewanie drobnymi paluszkami. Chrabaszcz z brzękiem wleciał przez otwarte okno, zataczając kręgi dokoła głowy dyjakona Tuttle'a, przyczem dobry ten człowiek zdradzał zakłopotanie, tak cechujące ludzi krótkogłowych, kiedy ich niepokoi brzęczenie jakiegoś owadu. Po chwili fruwał ku Magdalenie, pociągnięty, być może, jej błyszczącymi oczyma, a drobne ruchy, wyrażające

przestrach, przy pomocy których starała się go uniknąć, były czemś niezrównanie ładnem; tak przynajmniej zdawało się Henrykowi Burr, barczystemu chłopcu, który siedział w ostatniej ławce, a którego surowa, poważna twarz rozjaśniła się teraz właśnie żartobliwym uśmiechem.

Mr. Lewis, pastor, siedząc tuż pod zegarem, nie może spojrzeć nań, nie wychylając głowy, w czym całe audytoryjum góruje nad nim i z przewagi tej swojej szeroki robi użytek. Istotnie, tak bardzo uwaga ogólna ześrodkowyywa się na czasomierzu, że obcy przybysz mógłby dojść do błędnego wniosku, iż to on właśnie stanowi przedmiot, ku którego czci zgromadziło się to całe audytoryjum. Nakoniec, robiąc małe ustępstwo z etykiety na rzecz ciekawości, mr. Lewis wychyla się i spogląda na zegar; następnie zaś, patrząc po obecnych z miłą porozumiewania się, robi uwagę, iż pozostało jeszcze tylko chwil kilka.

W rzeczywistości pozostawało jeszcze pięć minut; to też młodzieńcy z ostatnich ławek, uczęszczający na nabożeństwa jedynie w celu odprowadzania dziewcząt, poczynają uczuwać kolejno nadzieję lub obawę, a to wraz ze zbliżeniem się chwili, kiedy będą musieli losy swe poddać próbie i albo odnieść zwycięstwo, albo przegrać. Ukradkiem spoglądają oni na dziewczęta: jakże straszniemi są one teraz, o ileż wyższe ponad pospolite uczucia, jak pogodne i jak lodowato obojętne! Jakgdyby blizka obecność młodzieży płci innej w owej chwili była czemś nieskończenie dalekiem od ich myśli. Jakże przedwczesnym, jak zuchwałym wydaje się teraz samym tym młodzieńcom tak pewny przed chwilą zamiar odprowadzania tych kapryśnych istot do domu, jakże błahemi i nie-

właściwemi frazesy, z jakimi przed chwilą mieli do nich przystąpić. Magdalena Brand wygląda szczególnie poważnie—jak przystało na młodą damę, która wie, że ma trzech pretendentów do odprowadzania, oczekujących na nią za drzwiami kościoła, nie licząc jednego lub dwóch, którzy się dostali do wnętrza, a względem których musiała zrobić wybór stanowczy w przeciągu pozostałych pięciu minut.

Kapłan wziął swoją książkę z hymnami i przewracał kartki, szukając pieśni końcowej, gdy wtem powstał ktoś z miejsca w tylnej części przybytku. Wszystkie głowy, jakgdyby pociągnięte jednym sznurkiem, odwróciły się, aby spojrzeć, kto to był taki, zaś dyjakon Tuttle aż włożył okulary, aby się lepiej przyjrzeć tej niedyskretnej osobie, która uczuła chęć przemawiania w czasie tak niewłaściwym.

Był to George Bayley, młodzieniec dość wykształcony, wychowany bardzo starannie i niegdys wiele obiecujący, który jednak w czasach ostatnich przechodził bardzo nieszczęśliwą przygodę. Przed rokiem mniej więcej „sprzeniewierzył” on małą sumkę z funduszów pewnego stowarzyszenia newillskiego, którego był płatnikiem, a to dla jakiejś własnej naglącej potrzeby. Rozmaite okoliczności dowiodły, iż gorzko żałował swojej winy, nawet przed jej odkryciem. Zwrócił stowarzyszeniu pieniądze, i nie było też żadnego dochodzenia sądowego, gdyż nieuczciwy ten postępek nie był objawem spalonego charakteru, ale tylko jakimś niewytłomaczonym zboczeniem z drogi prawej. Widoczny żal młodzieńca wzbudził ku niemu ogólną sympatyję, i kiedy Parker, miejscowy składnik materyjałów aptecznych, dał mu u siebie posadę subjekta, krok ten powitano ogólnem uznaniem, i cała ludność miasteczka jed-

nozgodnie, w sposób przyjacielski i serdeczny, starała się dać uczuć młodzieńcowi, iż zapomniiała o jego przeszłości i pomagać mu będzie w rozpoczęciu życia nowego.

Nawrócił się on był przeszłej zimy na łono kościoła, miewał jednak później chwile zwątpienia i znowu stał się obojętnym na sprawy religijne. Wyglądał ponuro; twarz miał niezmiernie bladą, oczy spuszczone na dół. Ale nad tymi oznakami duchowej niemocy panował wyraz szczególnego jakiegoś, głębokiego spokoju. Wyglądał, jak człowiek, którego po długiej niemocy opuściła wreszcie gorączka, jak ten, który walczył długo, lecz którego walka już się skończyła. Jakoś głos jego, gdy zaczął mówić, był bardzo łagodny i raźny.

— Jeżeli nie sprawi to wam zbyt wielkiej różnicy—zaczął—chciałbym zając parę chwil czasu i pomówić trochę o sobie. Przypomnienie może, iż przeszłej zimy przyznałem się do mego nawrócenia. Wiem, iż od owego czasu okazywałem brak interesowania się sprawami religijnymi, co z pewnością usprawiedliwiało wasze przypuszczenie, że byłem albo zbyt nieopatrny, albo też nieszczerzy w moich wyznaniach. Obecnie przygotowałem się do rychłego pożegnania was, i byłoby mi bardzo przykro, gdyby wrażenie takie pozostało w umysłach moich przyjaciół. Może być, iż byłem zbyt nieopatrny, ale nigdy nieszczerzy. Darujecie mi może, gdy zawadzę tu o pewien przedmiot niemiły, ale jaśniej wyłożę wam rzecz moją, gdy przejrzę nieco z wami moją oplakaną historję.

Łagodny spokój, z jakim napomykał o własnej swojej klęsce, jakgdyby już był przekroczył granicę wszelkich uczuć osobistych w tej sprawie, miał w sobie dla słuchaczy coś przeję-

mującego i ściskającego za serce. Zdawało im się, że słyszą głos zmarłego, mówiący przez usta osoby żywej.

— Po mojej hańbie — ciągnął dalej młodzienciem tym samym tonem spokojnego wykładu — czułem się, jak sędzę; prawie zupełnie tak samo, jak się czuje mechanik, który wskutek nieszczęśliwego ciosu beznadziejnie zespecif zewnętrzną postać jakiegoś swego dzieła, które jednakże doprowadził był do sprawności i wykończył, jak mógł najlepiej. Wiecie zapewne, że, aby znaleźć zadowolenie w swojej robocie, pracownik musi być z niej choć trochę dumnym; nie niema dlań bardziej zniechęcającego, jak mieć do czynienia z robotą, która budzi w nim niesmak, gdy tylko doń powraca, gdy tylko spojrzy na nią. Czy jasno wyłożyłem myśl moją? Czułem się tak, jak owa załoga, pobita na zeszlotygodniowych regatach, która, gdy się ujrzała zdystansowaną beznadziejnie na samym początku, nie brała już udziału w wyścigach, ale natychmiast przybiła do brzegu i powróciła do domów.

— Pamiętam, kiedym był małym chłopcem w szkołach i kiedy jednego dnia zrobiłem dużą plamę na tytułowej karcie mojego nowego kajetu, pamiętam, jak nie miałem serca iść dalej, i przypominam dobrze, jak dręczyłem mego ojca prośbami, aby mi kupił nowy, jak krzyczałem i dąsałem się, aż wkońcu wziął scyzoryk i zręcznie odciął splamioną kartkę. Wówczas uczułem ulgę, nabrałem otuchy i, jak sędzę, tak pięknie skończyłem ów kajet, że nauczyciel dał mi nagrodę.

— Otóż, czy widzicie — ciągnął on dalej, a usmiech blady błakał się w wyrazie jego oczu — dlaczego po upadku moim zdawało się, iż nie mogę zająć się niczem innym? Nadeszły świę-

ta zimowe i nasunęły mi myśl, iż religija mogłaby przyjąć mi z pomocą. Od dziecka słyszałem, że krew Chrystusa posiada moc zmywania grzechów i czynienia nas białymi i niepokalanymi, tak, iż stajemy się czysti w każdej naszej cząsteczce. Tego potrzebowałem, tego właśnie było mi potrzeba. Jestem pewny, że nigdy nie mieliście szczerzej nawróconego grzesznika nademnie.

Zamilkł na chwilę, jakgdyby w jakiejś kontemplacji duchowej; później znowu wyrazy zwołna płynęły z ust jego, a niedostrzeżony uśmiech litości nad samym sobą gościł wciąż na jego obliczu.

— Odpuszczenie grzechów—powiniennem był wiedzieć o tem—nie jest ich wyrugowaniem z umysłu. Pozostają one we wspomnieniach, pozostają w pamięci. Gdyby owego dnia, kiedym splamił mój kajet szkolny, nauczyciel był mi przebaczył najzupełniej, nie przyniosłoby mi to żadnej a żadnej ulgi, dopókiy plama pozostawała na miejscu. Nieszło tam o jakąś karę zewnętrzną, ale o ciosy, jakie zadawała plama mojej miłości własnej; dopiero po ich usunięciu miałbym serce podążać dalej. Wyobraźmy, że ktokolwiek z was — a przebaczyście mi, jeżeli was poproszę, abyście przez chwilę stanęli na mojem miejscu—przywłaszczył sobie cudzy pugilares. Czy wpłynęło by też znacznie na stan waszego ducha, gdyby właściciel jego przebaczył wam i zaniechał sądowego dochodzenia? Występek wasz przeciwko niemu błahy był i do wynagrodzenia łatwy; najcięższe i niedające się naprawić wykroczenie popełnilibyście względem siebie samych.

Godzina dziewiąta wybiła na zegarze młyńskim.

— Nadużywam dobroci waszej, ale niewiele

mi już pozostaje do powiedzenia. Pomyślcie tylko, jakim błogosławieństwem byłoby dla ludzi, gdyby tak działa się istotnie, gdyby wraz z oczyszczaniem się serc ludzkich czyściła się i odświeżała ich pamięć. Wtedy najbardziej upadli i pohańbieni mogliby znowu prowadzić dobre i szczęśliwe życie. Ale jest to płonne marzenie. Nie będę was zatrzymywał,—i umilkszy nagle, usiadł na miejscu.

W tejże chwili mr. Lewis powstał i pobłogosławił zgromadzonym, puszczając ich do domu bez zwykłej pieśni końcowej. Obawiał się on, że mogliby byli jeszcze coś powiedzieć dyjakon Tuttle albo dyjakon Miller, ludzie dobrzy, lecz o niezbyt wielkiej subtelności umysłu, co jeszcze bardziej przyczyniłoby się do zbłąkania nieszczęśliwego młodzieńca. Jednakże własny jego zamiar wyszukania chwilki stosownej po nbo żeństwie i pomówienia z nim musiał spełznąć na niczem, gdyż Bayley zbyt szybko opuścił modlitewnię. Jak się zdaje, nie zauważył on przyjaźnie usposobionych dla siebie twarzy i rąk dokoła wyciągniętych. Na obliczu jego tkwił uśmiech nieruchomy, a oczy zdawały się patrzeć po przez ludzi, nie widząc ich. Zrobił się gwar niemały, gdy zaczęto rozmawiać o niesłychanej dotąd innowacyi w przemówieniach kościelnych. Wszyscy prawie odzywali się z sympatją o młodzieńcu, jakkolwiek wielu wystąpienie jego raziło lub sprawiało przykrość, i jakkolwiek niektórzy oświadczali, iż nic a nic go nie rozumieją. Jaki taki oznajmiał, iż Bayley musi być trochę niespełna rozumu, zwracając przytem uwagę na niezwykłą jego bladeść. Żadnego z tych dobrych serc w połowie nawet nie obrażała tyle herezycja słów młodzieńca, ile przejmowało je ubolewanie z powodu widocznego upadku jego ducha. Mr. Le-

wis był może jedyną osobistością, co powzięła bardzo jasne pojęcie o myśli, jaka ukrywała się w jego słowach; to też stapał powoli, z głową opuszczoną nadół i bardzo poważnem obliczem; doszedłszy aż do środka kościoła, nie połączył się z żadną z grup rozmawiających. Henryk Burr stał z kapeluszem w ręku, w pobliżu drzwi kościelnych, śledząc z pod oka Magdalenę, która zamknęła właśnie książkę i poprawiała swój szal.

— Dobry wieczór, Henryku!—rzekł mr. Lewis, zatrzymując się przy młodzieńcu. Nie wiecie też, czy nie przytrafiło się ostatnimi czasami George'owi coś nieprzyjemnego, co mogłoby tłumaczyć jego wystąpienie obecne?

— Nie wiem, panie!

— Przypuszczam, iż musiano mu okazać gdzieś lekceważenie albo oziębłość. Bardzo jest drażliwym.

— Nie sędzę, aby ktokolwiek w miasteczku miał go lekceważyć.

— Jabym też to powiedział, zauważył mr. Lewis z namysłem. Biedny, biedny chłopak! Musi czuć się bardzo niedobrze, i trudno jest dowiedzieć się, jak mu pomódz.

— Tak, panie... to jest... z pewnością—mówił Henryk w roztargnieniu, gdyż właśnie miała przechodzić koło niego Magdalena.

Zaprzątnięty własnymi myślami, mr. Lewis nie spostrzegł roztargnienia młodzieńca i poszedł dalej.

Magdalena, zbliżając się do drzwi, prowadziła ożywioną rozmowę z jakąś inną młodą panią.

— Dobry wieczór, rzekł Henryk.

— Biedak!—mówiła dalej Magdalena do swojej towarzyszki. Wydawał się tak zrozpaczonem!

— Dobry wieczór! powtórzył Henryk. Spoj-

rzawsy dokoła siebie, zdawała się spostrze-
gać go po raz pierwszy.

— Dobry wieczór, odrzekła.

— Czy mogę odprowadzić panią do domu?—
zapytał, rumieniąc się zlekka na twarzy.

Patrzyła nań przez chwilę, jakgdyby nie
wierząc własnym oczom, iż uczyniono jej pro-
pozycję tak zuchwałą. Potem ukazał się cza-
rowny uśmiech:

— Byłabym bardzo obowiązana...

Gdy wsparła się ramieniem swem na jego
ramieniu, dotknięcie to napełniło kształtne je-
go, jakkolwiek drżące, członki jakimś ekstaty-
cznym poczuciem pewności siebie. Zdobył ją
i o smutkach zapomniał. Przez chwilę szli w
milczeniu po ciemnych ulicach, gdyż na obojgu
tragiczne wystąpienie Bayley'a odbiło się zbyt
silnie, aby mieli zaraz mówić o błahostkach.
Należy bowiem rozumieć, że w Magdalenie lek-
ki odcień zalotności był rzeczą li tylko insty-
ktowną, jakgdyby pewnym rodzajem bezwied-
nych odruchów kobiecego układu nerwowego,
mogącym jednak przybrać rozmiary bardzo
smutne.

Henrykowi sprawiało rozkosz szczególną owo
dzielenie z nią tego uroczystego nastroju, ile
że obcowanie ich dawniejsze zasadało się za-
wsze na żartach i paplaninie, tak pospolitych
w pierwszym okresie zalotów. Nowe to uspo-
sobienie zdawało się dodawać godności ich sto-
sunkowi i zespalać ich węzłem ściślejszym.
Nakoniec ciszę przerwała ona.

— Dla czegoś pan nie poszedł za biednym
Georgem i nie pocieszyłeś go, zamiast iść tu ze
mną? Czy zrobił to ktokolwiek?

— Bezwątpienia, odpowiedział Henryk po-
ważnie. Jeżeli jednak pozwolił uczynić to

komu innemu, to dla tego, iż sam potrzebowa-
łem pociechy niemniej od George'a...

— Proszę!—zawołała ona, a uśmiech, niezbyt
świadczący o niepokoju, skrzywił jej wargi
pod osłoną ciemności nocnych.—Masz pan jak-
najmniej uzasadnioną śmiałość być zazdrosnym
o mnie. Nigdy ani panu, ani nikomu innemu
nie dawałam do tego prawa, i mam nadzieję, że
nie dam.

— Bardzo dobrze! zachowam się, jak pani
każe.

Sarkastyczna pokora jego głosu zmusiła ją
do śmiechu mimowolnego; zaraz też zmieniła
przedmiot rozmowy.

— Gdzie będzie Laura wieczorem?

— W domu, piecze ciasta na naszą zabawę.

— Poczeiwa dziewczyna! Jabym też powin-
na była coś zrobić. Dziwiłabym się, gdybyś-
my i George'a na zabawie znaleźli.

— Wątpię. Pani wie, iż nie bywa on wca-
le w towarzystwach. Ostatnią razą widziałem
go na zabawie u mr. Bradforda. Grał on w wi-
sta, kiedy poczęto żartować coś na temat sza-
chowania. Ktoś—zdaje się, że sam mr. Brad-
ford—powiedział: „Mogę wierzyć w uczciwość
mojej żony, nie jest dość biegłą, aby mogła o-
szukiwać. Ale nic nie wiem o George'u.” Ge-
orge był jej partnerem. Bradford nie myślał
nic złego; zapomniał — widzi pani — zupełnie;
w przeciwnym razie byłby sobie raczej odgryzł
język. Ale wszyscy dojrzeli w tem przytyk;
nastąpiła grobowa cisza. George poczerwieniał,
jak ogień, a później zbladł, jak chusta. Nie
wiem, jak skończyli robra, ale ktoś znalazł ja-
kąś wymówkę, i grę przerwano.

— Ach, Boże wielki, ależ to było okrutne!
Jak mógł mr. Bradford zrobić coś podobnego!
Sądzę, że nigdy sobie tego nie daruję—wołała

Magdalena z wyrazem żywego współczucia, przyciskając mimowoli ramię Henryka, a temsamem każąc mu zapomnieć zupełnie o George'u i jego strapieniach i wprawiając mu serce w ruch tak gwałtowny, iż obawiał się, że Magdalena spostrzeże to i że się obrazi. Ale ona zdawała się nie wiedzieć o zatruwającym działaniu swego wpływu i rzekła teraz tonem najtkliwszej litości:

— Taki był szczery i żywy w obejściu się! A teraz, gdy spotka którą z nas na ulicy, wydaje się tak zakłopotany i spogląda w bok albo na dół, jakgdyby sądził, że nie odkłoni my mu się lub że go zechcemy wyminąć. Jestem pewna, że każda z nas prędzej by się skazała na ścięcie. Dość jest w takich razach krzyknąć zlekka, aby się przekonać, o ile jest on niespokojnym i jak dalece czułym, iż słowa nie można powiedzieć na jego pociechę. Czyś pan zauważył, co on mówił o opuszczeniu miasta? Nic o tem nie słyszałam dawniej. A pan nie słyszał?

— Nie, ani słował Hm... Dokąd też on pójdzie? Prawdopodobnie sądzi, iż będzie mu łatwiej na nowem miejscu, gdzie go nie znają.

Szli przez kilka chwil w milczeniu, aż Magdalena rzekła wreszcie tonem dźwięcznym:

— Jakby to dziwnem było, gdyby ktoś istotnie mógł wyskrobywać rzeczy niemiłe z pamięci. Jakiej okropności chciałbyś się pan teraz pozbyć, gdyby było można? Przyznaj się pan.

— Chciałbym wyrugować ze wspomnień mych to, żeś pani wiosłowała z Wilem Taylorem ostatniej soboty, i to, co czułem wówczas z tego powodu.

— Doprawdy, panie Henryku Burr—rzekła Magdalena z wyrazem największej wyniosłości— odkiedyż to poważniłam pana mięszać

się do spraw moich? Jeśli pan nie raczysz zaniechać tych zbytnich żartów, natrę panu z pewnością uszu.

— Sądzę, że chyba nie ma pani słuszności, protestował on tonem obrazy. Mówiłaś pani przed chwilą, iż nie chcesz pozwolić mi, abym był o ciebie zazdrosnym, a teraz gniewa się pani o to, że przez posłuszeństwo dla niej chciałyby na wieki zapomnieć, że zazdrosny był kiedykolwiek.

Jakiś dźwięk, wyrażający pogardę, a niedający się wyrazić zgłoskami abecadła, był całą jej odpowiedzią na tę bardziej przebiegłą, niż mądrą obronę.

— Co do mnie, to spowiadałem się już, i obecnie pozostaje tylko, abyś pani uczyniła to samo. Jakich karygodnych czynów dokonała pani, o których chciałyby zapomnieć?

— Niepotrzebnie mi pan mówisz w tonie tak dziecinnym. Sądzę, że mogłabym popełniać grzechy tak samo, jak i pan z pańskimi dużemi wąsami, gdybym tego chciała. Nie wierzę, iżbyś pan mógł nawet muchę skrzywdzić, pomimo swojej powierzchowności zbójcekiej. Masz pan prawdopodobnie dobrotliwe sumienko, tak białe i czyste, że umarłbyś ze wstydu, gdyby ludzie je zobaczyli.

— Wybacz mi, lady Macbeth!—rzekł, śmiejąc się. Nie chciałem podać w wątpliwość potęgę twej nieprawości, ale o którym z twoją duszę zabijających grzechów chciałybyś najbardziej zapomnieć, gdyby istotnie którykolwiek z nich raził cię o tyle, że aż zatwardziało niezmierne sumienie twoje doznawałoby niepokoju?

— Dobrze, muszę przyznać się—rzekła Magdalena poważnie, iż nie chciałyby zapomnieć nic z tego, com uczyniła, nawet błędów moich i szaleństw. Gdyby je zabrano, lękałabym się,

czym nie straciła zgoła całego mego charakteru.

— Niech pani tak nie mówi! Tylko czcza próżność przez nią przemawia. Wiesz pani, że wykroczenia jej są tej wielkości, iż mogłyby być tylko „muszkami” zdobiacemi, i dla tego chciałaś je zatrzymać.

Pomyślała chwilę, a później rzekła stanowczo:

— Jest to komplement. Nie wierzę, iż bym była do tego podobna. Nie mów mi pan więcej nic takiego.

Nie zadawała sobie pracy zanalizowania uczucia, które ją do powiedzenia tych słów popchnęło. Gdyby to uczyniła, znalazłaby niewątpliwie ich źródło w poczuciu tego, iż obecność Henryka otaczała ją taką subtelną i delikatną atmosferą niewysłowionego przywiązania, że słowa pochlebne dźwięczały prawie, jak grubijaństwo.

Zatrzymali się przed bramą. Otworzywszy ją i wszedłszy na podwórze, rzekła mu:

— Dobra noc!

— Jeszcze jedno słowo! Niech mi wolno będzie zapytać, czy mogę przyjść po panią na zabawę?

— Po co? Sądzę, że żadna eskorta nie będzie potrzebna. Pójdziemy w dzień biały, a w Hemlock-Hollow nie ma ani niedźwiedzi, ani indyjan...

— Ale koszyczek pani. Będzie pani potrzebowała kogoś, coby niósł koszyczek.

— O, tak, z pewnością, mój koszyczek! zawołała z odcieniem ironji. Zaważy co najmniej ze dwa funty, i rozumie się, nie mogłabym go nieść sama. Z tem wszystkiem, niech pan przychodzi, będę mu bardzo obowiązana za troskliwość.

Ale odwracając się już, spojrzała nań z taką właśnie słodyczą, jakiej potrzeba było do złagodzenia ironii wyrazów. W obchodzeniu się z kochankami, Magdalena zawsze sprowadzała chmury na swoje niebo, zanim obdarzyła ich kroplą słodyczy, i w tem może właśnie tkwiło wytłomaczenie potężnego jej wpływu na rozpalanie się krwi młodzieńców w porównaniu z bardziej obfita, lecz i bardziej płytka wymową dziewcząt mniej ciętych.

Henryk czekał, aż wdzięczna postać zarysowała się przez chwilę na tle oświetlonego wnętrza izby, gdy Magdalena odwróciła się, zamykając drzwi za sobą. Miłość miewa niekiedy swoje zwroty metafizyczne. Jakoż, gdy Henryk powracał do domu, owładło nim dawne, a znane uczucie; oto, ni mniej, ni więcej, uczuwał w sobie jakąś wdzięczność i radość z tego, iż nie był Magdalena. Gdyby nią był bowiem, nie doznawałby zachwyty kochania jej, czczenia. O, jakże wiele traciła ona! Jak wiele traciły te wszystkie, którym kazano być wcieleniem dobroci, piękności i wdzięku, nie pozwalając być czcicielkami ich samych! Zresztą, pocieszeniem tu było, że nie wiedziała ona o tem, że istotnie myślała, iż przy owych wybrykach niewinnej zalotności i kaprysach, miała najlepszą cząstkę w napawaniu się swą krasą. Bóg chciał ulubienicę swoją wynagrodzić w jakiś inny sposób za uciekającą ciągle od niej słodycz, jaką poili się jej kochankowie. Kiedy Burr zbliżył się do domu, znalazł siostę swoją, stojącą we wrotach na oświetlonej księżycem ścieżce.

— Jak ty ładnie wyglądasz dzisiaj! rzekł, szczypiąc okrągłe jej policzki. Młoda panna ruszyła tylko ramionami i odparła sucho:

— Więc pozwoliła ci się odprowadzić do domu?

— Zkąd wiesz o tem?—zapytał, śmiejąc się z jej bystrej domyślności.

— Bo już widzę, żeś taki słodki, nieponiu. Wistocie jednak takie tłómaczenie przychylnego z nią obchodzenia się Henryka było jaknajzupełniej niepotrzebne. Laura ze swoją małą pulchną figurką, oczami, jak tarki, bystro poruszającemi się, z kędzierzawą, ciemną główką, czystemi, zarumienionemi policzkami, mogłaby uchodzić za równie zachwycający okaz amerykańskiej dziewczyny, jak i wysoka blada brunetka, która wzbudziła ku sobie uczucia jej brata.

— Chodź trochę pochodzić, cipko! Noc za- nadto piękna, aby iść do izby.

— Tak... I słuchać może pochwał Magdale- ny, oraz paru mniej rozważnych komplemen- tów w nagrodę za to, odrzekła pogardliwie. Zresztą, dodała, muszę iść do pokoju dotrzy- mywać towarzystwa ojcu. Wysłałam tylko, aby się ochłodzić po pieczeniu ciast. Tybyś także zrobił lepiej, gdybyś poszedł za mną. Te no- ce miesięczne, jak wiesz, czynią go zawsze bar- dziej posępnym.

Oboje niedawno stracili matkę; Laura, sta- rając się zastąpić ją w domu, o ile mogła, pil- nowała zawsze tego, iżby ojciec miał jaknaj- mniej sposobności pozostawać samotnym i nad osamotnieniem swoim rozmyślać.

II.

Tej samej nocy nad ranem Henryk nagle obudził się z głębokiego snu, który za sprawą dziwnego jakiegoś wpływu odbiegł zupełnie je- go powiek, pozostawiając w sercu uczucie głę-

bokiego upadku ducha. Pod względem cieleśnym młodzieniec czuł się zupełnie dobrze; nie mógł też wysledzić jakiegoś wrażenia zewnętrznego, któreby mogło wytłómaczyć tak jego nagłe przebudzenie się, jak i stan duchowy, w jakim się znalazł. Nie znaczy to, iżby znajdował, że jakaś rzecz w szczególności smutną była lub też zniechęcającą, lecz, że wszystkie cele i zamiary życia, nie tylko jego własnego, ale i życia w ogólności, przybrały jakiś pozór czczy, próżny, bezbarwny, tak dalece, iż czuł teraz wyraźnie, że nie powstałby z łóżka za wszystko, co mogłaby mu ofiarować jego egzystencyja. Przywoływał sobie na pamięć zwykły swój stan umysłu, kiedy wszystkie te rzeczy wydawały się tak ponętnymi, i jak gdyby dziwił się, że złudzenie tak bardzo bezpodstawne tak silnem było i tak powszechnem. Dziwiłby się, gdyby omamienie takie o władnęło nim znowu kiedykolwiek.

Chłodne, szare światło najwcześniejszego poranku, będące raczej konaniem nocy, nie zaś budzeniem się dnia, napełniało pokój bladą barwą, bardziej beznadziejną, niż mrok najczarniejszy. Odległy zegar powoli i ociężale uderzył trzy razy. Był to punkt zwrotny w codziennym przebiegu życia ziemi, owa chwila przed samem świtaniem, kiedy ludzie umierają najczęściej; kiedy z pewnością, gdyby nie siła rozpędu, bieg przyrody byłby się powstrzymał, i w której niewątpliwie ustanie on kiedyś na wieki, gdy nadejdzie godzina jego. Przeciągłe brzmienia dzwonka, zmieniając odległość na muzykę tonów, pełne jakiejs ponurej i nieskończonej cierpliwości, zamierały powoli, pozostawiając wrażenie niewymownie straszne. Duch jego, wyrrywając się w pogoń za konającymi dźwiękami, zdawał się przebywać przestrzenie

bez początku i końca, okresy o jakimś trwaniu monotonnem. Uczucie ostatecznego osamotnienia — osamotnienia nieuchronnego, druzgoczącego, wiekuistego, osamotnienia bytu w jakiejś nieskończonej próżni nieświadomości — gięło go, jak słomkę. Życie, jak zmora jakaś, leżała mu na piersi. Wstrząsnął się na myśl, że śmierć mogłaby go przeoczyć i odmówić mu swego schronienia. Nawet oblicze Magdaleny, gdy je zaklął w pamięci, wydawało mu się nikłym i bładem, budzącem litość (niewysłowioną, nie mogącą pocieszyć, a wszystkie złudzenia i cała namiętność miłości przyémione były, jak sala balowa bez świeczników, tonąca w szarem świetle przedświt.

Zwolna księżyc przepłynął, i Henryk zasnął na nowo.

Następnego poranku, już o wpół do ósmej można było widzieć, jak gromadki mężczyzn o twarzach bardzo posępnych, stojąc na rogach ulic, szeptały głosem przyciszonym; kobiety zaś z przejściem rozmawiały ze sobą po przez płoty i ogrodzenia. Nawet dzieci, idące do szkoły, zapominały o zabawie; albo rozmawiały ze sobą szeptem, albo się przemykały koło grup mężczyzn, aby pochwycić jedno lub dwa słówka z ich rozmowy, albo też szły w milczeniu, z jakimś uroczystym wyrazem zakłopotania na jasnych twarzyczkach.

Tej nocy bowiem zdarzył się w miasteczku smutny wypadek, jakiemu podobnego nie było w miejscowych dziejach. Poranku tego słońce, wcisnąwszy się przez zamknięte okiennice jednego z górnych mieszkań, odkryło tam rzecz, której uległo się samo. George Bayley siedział na krześle nieżywy, z głową pochyloną na piersi; mały, ciemno niebieski otwór widniał

w jego skroni, a przynim zakrzepło parę kropelek krwi.

To więc rozumiał, kiedy mówił, że przysposobił się już do opuszczenia miasteczka. Doktor sądził, że nieszczęśliwy strzał musiał nastąpić około godziny trzeciej w nocy, i kiedy Henryk posłyszał to, zrozumiał, że technicznie przelatującego anioła śmierci zmroziło mu było właśnie krew w żyłach.

Rodzina Bayley'a mieszkała gdzieindziej, i ojciec jego surowy, chłodny, o wyniosłem wejściu mężczyzna, był jedynym krewnym, obecnym na pogrzebie. Kiedy mr. Lewis chciał mu, dla sprawienia ulgi, powiedzieć, iż były powody domniemania, że George, odbierając sobie życie, nie był przy zdrowych zmysłach, mr. Bayley przerwał mu nagle.

— Nie mów pan tego! rzekł—wiedział on, co robił. Chciałbym, aby nikt nie myślał inaczej. Jestem bardziej dumny z niego, aniżeli się już był spodziewał.

Chór dziewcząt o oczach błyszczących śpiewał słodkie, smutne pieśni pogrzebowe, pieśni, które wchłaniały ból po stracie, jak chłodna gąbka, przyłożona na krwawiącą się ranę. Wydawało się okrucieństwem prawie, iżby miały przestać kiedykolwiek. Po pogrzebie, młodzież męzka i dziewczęta, niegdyś znajomi George'a, nie czując się usposobionymi powrócić tego dnia do zwykłych swych myśli i zajęć, zgromadzili się w domu jednego ze swoich i pozostali już tam aż do nocy, rozmawiając ze współczuciem o nieboszczyku i przypominając szlachetne rysy jego charakteru i ujmujące obejście.

Pogrzeb przypadł w dzień, przeznaczony na zabawę. Tę ostatnią przeto, ze względu na smutne usposobienie młodzieży, odłożono na dwa tygodnie.

III.

Okolo pół do ósmej zrana, w dzień, przeznaczony na zabawę, Henryk zastukał do drzwi wdowy Brand. Nie zapomniał on bynajmniej o pozwoleniu Magdaleny niesienia jej koszyczka, jakkolwiek dwa tygodnie czasu było upłynęło.

Przyszła otworzyć sama. Nigdy nie widział, iżby cokolwiek lepiej uwydatniało ciemne jej oczy i cerę oliwkową, jak prosty strój sielskiej zabawy, złożony z białej sukni i czerwonych wstążek, któremi opasała szyję i biodra. Suknia ugięta była trochę u dołu, do chodzenia po lesie, tyle właśnie, ile potrzeba było dla pokazania małych bucików. Zdawała się być zdziwioną, ujrawszy go, i zawołała:

— Wszak nie przyszedłeś mi pan powiedzieć, że zabawę odłożono raz jeszcze, albo że Laura chora?

— Z zabawą wszystko jest, jak potrzeba, z Laurą również. Przychodzę nieść koszyczek za panią.

— Tak? Doprawdy pan bardzo grzeczny, odrzekła, znajdując, iż jest cokolwiek zanadto urzędowy.

— Czyż pani nie przypomina sobie, żeś mi pozwoliła to uczynić? zapytał, rumieniąc się trochę pod jej chłodnem wejrzeniem.

— A to kiedy?

— Dwa tygodnie temu, owego wieczora, kiedy biedny George przemawiał na nabożeństwie.

— A! odrzekła, śmiejąc się: tak dawno! Jakąż pan ma okropną pamięć. Niech że pan wejdzie na chwilę, jeżeli łaska—jam już prawie gotowa.

Nie odważyłbym się powiedzieć, czy zapytywała z potrzeby, czy też przez cały czas doskonale pamiętała o swojej obietnicy i tylko

chciała go zmusić, aby poraz drugi prosił o łaskę, a to dla odebrania mu zbytnej pewności siebie. Pani Brand podała mu krzesło z wielką serdecznością. Była to miła, uprzejmych obyczajów lady, tak dalece powierzchownością swą i charakterem stanowiąca kontrast z Magdaleną, że kiedy ta ostatnia nazywała ją „swojem dzieckiem”, nazwa taka, jakkolwiek zabawna, była prawie odpowiednią.

— Macie państwo wyborny dzień na waszą zabawę, panie Burr, rzekła.

— Tak, jesteśmy bardzo szczęśliwi, odparł Henryk, ścigając oczami ruchy Magdaleny, która, stojąc przed lustrem, kładła właśnie kapelusze z czerwonym piórem.

To wykończanie toalety w jego obecności wskazywało pewne jakgdyby spoufalenie się z nim, co miało wpływ oszałamiający na jego wyobraźnię.

— Ojciec pański ma się dobrze? — pytała uprzejmie pani Brand.

— Bardzo dobrze, dziękuje pan! Doprawdy, bardzo dobrze — odpowiedział roztagoniony.

— Tak; otom już gotowa — rzekła Magdalena; tu jest koszyczek, Henryku. Do widzenia, mamol!

Stanowili dobraną parę: ten dorodny młodzieniec i wysmukła, zgrabna dziewczyna. Nie dziw też, że matka jej, stojąc we drzwiach, patrzyła ze znaczącym uśmiechem.

Hemlock-Hollow była to dolina wśród pagórków leśnych, odległa mniej więcej o milę, a położona wyżej nad piękną rzeką, nad którą znajdowało się Newille; to też na miejscu spotkania zgromadzone były u brzegu rzeki łodzie, mające zawieźć biesiadników dalej. Przybywszy na miejsce, Henryk i Magdalena zna-

leżli już towarzystwo całe i w znakomitem u-
sposobieniu.

Laura była tam również, a obok niej Will Taylor. Był to zwinny czarnooki chłopak, subiekt w składzie towarów kolonialnych, pełny pustoty i dobroci, ulubieniec powszechny; ale niedorzecznością byłoby chyba, gdyby Henryk miał być o niego zazdrosny. Była również Fanny Miller, mająca najpiękniejsze ramiona w Newille, który to fakt odkryto kiedyś, gdy na maskaradzie towarzyskiej była ubrana w stroju Marty Waschinton; wiadomość ta krążyła odtąd z ust do ust wśród młodzieży. Nakoniec, była tam Emilija Hunt, która kiedyś sprawiła shocking dziewczętom i nabawiła młodzież mężką miłego strachu, ukazując się zeszłej zimy wśród towarzystwa młodych mężczyzn do gorsu i z krótkimi rękawami. Ku usprawiedliwieniu jej zauważyć należy, iż wróciła była wówczas niedawno z miasta i nie znała jeszcze etykiety newillskiej. Nie należy też zapominać o Idzie Lewis, córce pastora, małej i chudej dziewczynce, z pięknymi, ciemnymi oczkami, która żywiła słabość beznadziejną dla Henryka. Pośród młodzieży był Henryk Tuttle, subiekt z magazynu mód i towarów fantazyjnych, młodzieniec, którego ojciec posyłał kiedyś przez czas pewien do pobliskiego seminaryjum, wynikiem zaś tej praktyki szkolnej była pewna junacka postawa studenta, mająca w sobie odcień hultajstwa—przedmiot podziwu dziewcząt i zawiści młodzieży męskiej.

Nadewszystko jednak był tam Tom Longman. Był to duży, barczysty chłopak, niezmiernie dobrotliwy i prostego serca. Była to ofiara zbyt silnej wrażliwości na wdzięki dziewcząt, oraz nieznośnego tchórzostwa i braku

wiary w siebie, gdy był w ich obecności. Ucieczki przed zakłopotaniem swem szukał on zwykle w jakiejś robocie i pracował jak koni, gdzie tylko było coś do zrobienia. Mając ręce zajęte, miał też zarazem wymówkę, iż nie mógł rozmawiać z dziewczętami, kiedy się doń zwracały, a w ten sposób osłonięty przed bezpośrednimi wpływami ich obcowania, nurzał się w atmosferze upojenia i słodczy, jaką dokoła siebie rozpościerały. Lubił zabawy, gdyż bywało tam dużo do roboty; nigdy też nie brał udziału w grach pokojowych, gdzie roboty wcale nie było. To nieokiełzane zamiłowanie w pracy i wyzyskiwanie Toma przez towarzystwo znajdowały silne poparcie u innych młodzieńców, którzy też zawsze znajdowali sposób zaliczenia go do takiej zabawy, gdzie przypuszczalnie potrzeba było robić wiosłami, pilnować koni, dźwigać ciężary, rozstawiać krokiet lub wykonywać inną pracę ręczną. W towarzystwach takich bywał on zazwyczaj „nie do parry.” Nie byłoby sensu dostarczanie mu towarzyszek, a zresztą, kto chciał, tyle się z niego narzartował, iż każda z dziewcząt strzegła się jaknajbardziej, aby nie zespolić swego imienia z imieniem jego, jakkolwiek wszystkie miały w nim pełne współczucia upodobanie.

Obecnie biedny ten niewolnik spódnicy pracował cały ranek, przygotowując łódzie.

-- Jakżeście pięknie wszystko urządzili!-- rzekła Magdalena, stanawszy na piasku i czekając na Henryka, który poszedł po łódkę.

-- Co? odpowiedział Tom, śmiejąc się w sposób głupkowaty.

Zawsze się tak śmiał i zawsze mówił: „co”, gdy która z dziewcząt zwracała się do niego, zanadto bowiem bywał tem wzruszony, aby mógł odrazu pochwycić zapytanie.

— Bardzo to piękne z pańskiej strony, żeś przygotował dla nas łódki, powtórzyła Magdalena.

— O, to drobnostka, to drobnostka! wybełkotał z twarzą mocno czerwoną.

— Jedzicie w naszej łódce, Longmanie! Nieprawdaż? rzekł Harry Tuttle.

— Nie, Tom! jedziesz z nami, wołał inny młodzieniec.

— On pojedzie z nami, jako pocziwy kolega, wołał Will Taylor, który razem z Laurą siedział w przedniej części łodzi, u której steru usadowił się właśnie Henryk, obok Magdaleny.

— Tom! Ci panowie potrzebują ciebie, abyś za nich wiosłował, rzekła Madalena. Chodź do naszej łodzi, a ja skłonię Henryka, aby wiosłował za ciebie.

— Cóż na to mówisz, Henryku? odrzekł Tom, wahając się.

— Ja nie mam już nic do powiedzenia po wyroku Magdaleny.

— Dobrze go trzyma! zauważyła Ida Lewis niezbyt słodko.

— Niech będzie! Idę do waszej łodzi, pan-no Brand, jeżeli się pani będzie mną opiekowała, zawołał Tom w nagłym przystępie śmiałości, poczem nastąpiły okropne rumieńce na samą myśl, iż może za wiele sobie pozwolił.

Łódkę zepchnięto, nikt jednak nie brał wioseł.

— Sądziłam, że pan będziesz wiosłował, rzekła Magdalena, zwracając się do Henryka, który siedział obok niej u steru.

— Z pewnością! rzekł on, robiąc ruch, jak-gdyby chciał powstać.

— Tom! usiądziecie tutaj, a ja będę wiosłował.

-- O, nie! ja właśnie bardzo lubię wiosłować, odpowiada Tom, chwytając wiosła z gorączkowym pośpiechem.

-- Ależ, ja chciałem sam, potrzebowałbym trochę ruchu! nalegał Henryk z miną hypokryty, stojąc w postawie pełnej gotowości.

-- O, ja to tak lubię! Idzie mi bardzo o to... Słowo daję... opierał się Tom, uderzając wiosłami z taką gwałtownością, iż Henryk dla zachowania równowagi musiał usiąść.

-- Widocznem jest to, że nie chcecie siedzieć koło mnie... To mnie oburza, rzekła Magdalena, udając, że się dąsa.

-- O, nie, wcale nie! protestował Tom. Tylko jabym wołał wiosłować... to jest, widzi pani... chciałem powiedzieć, jest taka uciecha w wiosłowaniu.

-- Dobrze więc! odrzekła. Nie będę już panu pomagała; tymczasem patrz pan, wszyscy oni chcą zczepić swoje łodzie z naszą!...

Istotnie, jedna z łodzi zarzuciła łańcuch u ich steru, inne uczepiły się tamtej, wszyscy wiosłarze odpoczywali sobie, i Tom ciągnął całą flotyllę.

-- O, ja mogę tak samo ciągnąć ich wszystkich... wołał, dysząc ciężko, Tom, a krople spływały mu po czole.

Ale tego było trochę już zawiele; jakoż Henryk rychło odciął inne łodzie, pomimo protestu ich pasażerów, którzy zapatrzyli się w zakrzepłość i mięśnie Toma, jak na wspólną własność całego towarzystwa, z której nikt nie miał prawa ciągnąć zysków wyłącznych.

Po przybyciu do Hemlock-Hollow, Magdalena poprosiła biednego młodzieńca o kapelusz i zwróciła mu go, przyozdobiwszy zielenią. Okoliczność ta nabawiła go śmiertelnego prawie wstydu i rozkoszy i zmusiła szukać jakiejś

kłapy bezpieczeństwa przeciwko niezwyktemu podnieceniu w działalności nadludzkiej; przez całą resztę poranka ustawiał on krokiety, zawiesział huśtawki, łupał lód, obierał cytryny i nosił wodę.

-- O, jakże mi się chce pić! zawołała Magdalena, odrzucając młotek krokietowy.

-- Woda z lodem nie gotowa jeszcze, ale wiem o jednym źródle, niedaleko stąd, gdzie woda jest zimna jak lód, odpowiedział Henryk.

-- Pokaż mi pan to w tej chwili. Odeszli razem, ścigani wzrokiem nieszczęśliwej Idy Lewis.

Odległość do źródła nie była znaczna, ale droga odznaczała się nierównością, i parę razy Henryk musiał pomagać jej w przechodzeniu przez zwalone drzewa lub kładki. Raz pośliznęła się trochę i przez jedną szczytną chwilę trzymał on ją całą w swoich objęciach. Przedtem szli, gwarząc i śmiejąc się, ale przygoda ta zrodziła pomiędzy nimi nagłą ciszę. On nie śmiał spojrzeć na nią przez chwil kilka, a kiedy spojrział wreszcie, twarz jej, zwykle bezbarwną, krasiał rumieniec.

Tętno uderzało mu już przedtem z dziką siłą; kiedy zaś spostrzegł, że i ona dzieliła z nim świadomość owej chwili, wzruszenie jego zwiększyło się dziesięciokrotnie. Po raz pierwszy w życiu zdradziła się w jego obecności z objawem pomieszania. Wynikające stąd uczucie panowania, owładnięcia nią było dlań tak dalece nowem, iż krew jego natchnęło jakimś szaleństwem. W milczeniu doszli do źródła i udawali, że piją. Gdy chciała powracać, zleka ujął jej palce i rzekł głosem szorstkim prawie, wskutek tłumionego wzruszenia.

-- Nie śpiesz się tak pani! gdzież znajdziemy miejsce chłodniejsze?

-- O, wszędzie jest dość chłodno, chodźmy

już! odrzekła, rozpoczynając odwrót. Widziała jego podniecenie, a będąc sama nieco zmieszana, ani myślała pozwalać mu na odegranie stanowczej sceny teraz właśnie. Poskoczyła naprzód tak zwinnie, iż nie mógł dogonić jej, aż do chwili, gdy natrafiła na kładkę, której sama, bez pomocy, przejść nie mogła. Przeskoczył i podał jej ramię. Z wyrazem takim, jak gdyby nie wiedziała, kto jej pomaga, przyjęła je, a on pociągnął ją na swoją stronę. Wówczas, pod wpływem jakiejś nagłej śmiałości, na wpół wierząc, iż nie będzie się gniewała, i na wpół obawiając się tego, porwał ją w swe ramiona i pocałował w usta. Krzyknęła i wyrwała mu się z objąć.

— Jak śmiałeś pan zrobić mi coś podobnego! zawołała.

Duży chłopak stanął przed nią zawstydzony, smutny, przybity, zrozpaczony.

— Nie mogłem wytrzymać... wybełkotał. Obrona była jakgdyby niedorzecznie prosta, a jednak niepodobna była na nią odpowiedzieć. Jakkolwiek więc gniewała się dziewczyna, nie znalazła nic lepszego do powiedzenia, jak tylko:

— Trzeba było wytrzymać!

Zaś po tem nieefektownem oburknięciu, zwróciła się i poszła ku miejscu zabawy. Henryk poszedł za nią w usposobieniu nieokreślonym. W umyśle jego odbywało się wrzenie. Nie mógł wyobrazić sobie, co się stało. Nie wierzył prawie, że istotnie był to uczynił. Nie mógł pojąć, jak się odważył na to; dalej—jaka go czeka kara? Co będzie, jeśli mu nie przebaczy? Dusza jego tajała ze strachu. Ale, mówiąc prawdę, istotne usposobienie młodej panny bynajmniej nie było tak niemiłosiernem, jak się on obawiał. Była ona gotowa gniewać

się bardzo, ale szybkość i głębokość jego skruchy rozbroiła ją. Widok tego, iż zdawał się on istotnie głębiej odczuwać śmiałość swego postępku, niżli ona sama, odbierał całą siłę jej oburzeniu. Kiedy zaś po przyjściu na miejsce, zobaczyła, że on, zamiast brać udział w grach, trzyma się na osobności, błędząc niepocieszony bez celu pomiędzy sosnami, zdjęła ją litość nad nim; posłała kogoś po niego z oznajmieniem, iż potrzebuje go, aby ją pohustał. Ludzie całowali ją dawniej. Nie mogła też pozwolić, aby pierwsza osoba, która tak dobrze zdawała sobie sprawę z ważności tego postępku, miała cierpieć niezasłużenie z powodu własnej drażliwości, która ją tak dobrze zalecała. Co do Henryka, to prawie nie wierzył on swoim uszom, posłyszawszy, iż Magdalena przywołuje go do swego towarzystwa. To też pocałunek, zmrożony uprzednio na jego wargach przez jej szorstką odprawę, począł teraz płonąć na nowo, i teraz dopiero uczuł on niezwykłą jego słodycz; wezwanie to zdawało się bowiem oznaczać jej przyzwolenie i zgodę. Było jeszcze kilka innych osób koło Magdaleny, siedzącej na huśtawce. To też Henryk, przyszedłszy tam, milczał ciągle, gdyż nie mógł rozmawiać o rzeczach obojętnych. Jakimże urokiem, jak rozkosznymi obietnicami nacechował teraz ów pocałunek wszelki rys jej postaci, poczynając od pióra u kapelusza, aż do końca buczków. Rozkosznem drżeniem jakimś poczucie własności napełniało teraz każdą myśl jego o niej. Dotykał się sznurów huśtawki z takim uczuciem, jakgdyby to były druty elektryczne, mogące jej przesyłać jego pieśczęoty.

Tom Longman, zrobiwszy wszystko, co tylko się do zrobienia nastroczało, błędził bez ce-

lu, silnie zakłopotany, nie śmiejąc połączyć się z żadną gromadką, a tem bardziej przystąpić do której z panien osamotnionych. Kiedy przechodził koło huśtawki, Magdalena rzekła do Henryka:

— Niech mnie już pan przestanie huścić! Zdaje mi się, że chętnie przejechałabym się łódką.

Młodzieniec o mało nie stracił głowy. Z rozkoszy nie mógł prawie opanować głosu swego, gdy mówił:

— Cudownie będzie teraz wiosłować. Jestem pewny, że znajdziemy kilka lilij wodnych.

— Istotnie! odrzekła z pustotą. Zanadto jesteś pan pewny swego. Właśnie chciałam prosić Toma, aby mi towarzyszył.

Zawołała Longmana, i kiedy przyszedł, wyszczerzając zęby we wstydlwym uśmiechu, oznajmiła mu, iż byłoby jej bardzo przyjemnie, gdyby ją powoził po rzece. Myśl pozostawiania sam na sam, w małej łódce, może przez jakie minut piętnaście z krasawicą newillską, przedmiotem jego tajemnej a dalekiej adoracji, sparaliżowała wszystkie jego zdolności, nabawiając go dręczącego zakłopotania. Poczerwieśniał mocno, a w uszach tak mu zaczęło szumieć, iż nie był pewnym, czy dobrze słyszał; to też Magdalena kilkakrotnie musiała powtórzyć mu swoje słowa, zanim w końcu nalezyście przedstawił sobie strasliwą propozycję. Gdy szli do brzegu, dziewczyna żartowała z nim, ale on odpowiadał tylko szeregiem bezmyślnych uśmiechów. Gdy się znaleźli na rzece, Tom dla usprawiedliwienia tego, iż nie rozmawia, począł wiosłować tak strasliwie, że na brzegu poczęto się nim bawić, krzycząc jednocześnie:

-- Trzymajcie się prosto! Płyniecie do brzegu!
Tom istotnie nie mógł należycie kierować łódką, gdyż nie śmiał spojrzeć w stronę steru, z obawy spotkania wzroku Magdaleny, który, jak wnosił on z oddzielającej go od niej przestrzni, musiał ogarniać sobą chyba czwartą część widnokregu, jak zorza. Z tem wszystkim jednak przeżywał on wtedy szczęśliwą chwilę, albo raczej właściwyszem może byłoby powiedzieć, iż miewał chwilę dobrą później, gdy o tem rozmyślał. Było to wydarzenie, które stało się złotą miną w jego pamięci, dość obfitą, aby przez całe lata ozłacać mogło jego nad wyraz skromne marzenia. Piękność, tak jak bogactwo, powinna byłaby czynić posiadaczy swych wspaniałomyślnymi. Dobrze jest, gdy piękna kobieta od czasu do czasu okazuje się szczodłą, darząc blaskami swymi nieśmiałychem i bojaźliwych swych wielbicieli obficie, niż bardziej odważnych adoratorów, daje je tym, którzy prosić o nie się nie wazą. Piękność prawdopodobnie nigdy bardziej cenną nie bywa kobietom, jak wtedy, gdy wiedzione współczuciem, rozjaśniają blaskami swemi oczy lękliwych i trzymających się na uboczu admiratorów. ;

Kiedy Henryk rozmyślał ponuro i z żalem nad niestałością pici pięknej, roztrząsając zagadnienie pytaniem, czy prawdopodobnem jest, iż Magdalena kazała pohuścić siebie umyślnie na to, aby potem mieć sposobność natarcia mu uszu, zbliżyła się do niego Ida Lewis.

-- Panie Burr, zaczynamy partyję krokieta. Czy nie chciałbyś pan grać?

-- Jeżeli mogę być po stronie pani, odrzekł grzecznie.

Wiedział on, że podoba się dziewczynie, i był dla niej zawsze uprzejmym. Na taką odpowiedź twarz jej okryła się rumieńcem zadowolenia.

— Jeżeli pan chce, proszę — odrzekła nieśmiało.

Henryk nie był wcale zarozumiałcem, ale niepodobna mu było nierozumieć, dla czego Ida, która przez cały poranek była dość smutna, teraz stała się duszą zabawy i była pełną uśmiechów i rumieńców. Dobrze grywała w krokiet i chodziło jej trochę o wygranę. Pomimo to jednak porażka, jakiej przyczyną stał się brak przytomności i niezręczność Henryka, nie zakłóciła bynajmniej jej wesołości.

Ale dla niej cząsteczka blasków słonecznych dnia tego była dość małą, gdyż Magdalena rychło wróciła z przejażdżki; to też Henryk, znalazłszy jakąś wymówkę, opuścił towarzystwo i z nią się połączył; siedziała na ziemi u stóp olbrzymiego dębu, rozkładając lilije wodne, budzące podziw w dziewczętach. Gdy przyszedł, zdawała się go nie spostrzegać. Kiedy nadarzyła się sposobność mówienia bez świadków, rzekł skromnie:

— Przypuszczam, iż będziesz mi pani wdzięczną za przejażdżkę.

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć, odrzekła z udaną obojętnością.

— Że pani miała zamiar ukarać mnie.

— Jesteś pan dość zarozumiałym, odrzekła. Lauro, chodź tutaj! Brat twój mi dokucza...

— I sądzisz, że ja także powinnam znosić dokuczanie, odrzekła młoda panienka czupurnie, nie zatrzymując się.

Magdalena byłaby wstała i opuściła Henryka, ale przez dumę nie chciała mu pozwolić myśleć, że się go boi. Nie bała się też, ale była zmieszana i chwilowo nie miała zwykłej pewności siebie. Jedną z przyczyn wycieczki jej z Tomem była też chęć zastanowienia się nad sytuacją. Żadna z dziewcząt, jakkolwiek

by chłodną krew miała, nie mogłaby być przyściśniętą do piersi mężczyzny, drgającej miłością dla niej, nie doświadczając przytem jakiegoś wzruszenia. Jakimkolwiek byłby stan jej duszy, jest w takim zetknięciu się coś magnetycznego, z czego nie mogłaby się otrząsnąć odrazu.

Pocałunek ów doprowadził stosunki jej z Henrykiem do stanu przesilenia. Przyśpieszył on konieczność jakiejś decyzji. Nie mogłaby już dłużej utrzymywać go zdala od siebie i bawić się nim. Dzięki śmiałości temu postępkowi zdobył on stanowisko korzystne, mógł przybrać pewną postawę panowania, jakiej nigdy nie przybierał dawniej. Jednakże, nie jestem ostatecznie pewien, czy nie bała się go trochę, i, co większa, czy przez to samo nie lubiła go bardziej. Było w niej jakieś takie nowe uczucie, iż niektóre sytuacje, o jakich w związku z nim myślała, wydawały się teraz umysłowi jej bardziej możliwemi, niż kiedykolwiekbądź przedtem. Gdy spoglądała ukradkiem na tego młodego mężczyznę, który tak nagle stał się strasznym, a który teraz nie dbałe wsparł się u stóp jej na ziemi, uznawała, iż jest coś szczególnie męskiego w tej zuchwałej postawie, w czole kwadratowym i zwieszających się nad niem czarnych kędziorkach włosów. Patrzyła nań z nowem zajęciem nawpół odpychana, nawpół zaś pociągana ku niemu, jak na kogoś takiego, co mógłby wejść z nią w stosunki bardzo blizkie. Nie wiedziała prawie, czy myśl ta była dla niej przyjemną, czy też nie.

— Daj mi pan swój kapelusz, rzekła. Przytnę tam parę lilij.

— Jesteś pani bardzo dobra! odrzekł, podając żądany przedmiot.

— Czy pana to tak razi? mówiła znowu Magdalena z wahaniem — więc nie zrobię tego. Nie chcę wydawać się szczególnie dobrą dla pana...

Nie wiem nawet, jakby wyglądała taka ozdoba...

— O, wyglądałaby bardzo dobrze! Byle tylko w ilości umiarkowanej—należał Henryk.

Na takie przełożenie wzięła wreszcie kapelusz.

Przypatrywał się, podziwiając, jak zręcznie zatykała lilije wokoło, trzymając go już w taki lub inny sposób i krytycznie śledząc własną robotę.

Nagle przyszedł jej inny kaprys do głowy.

— Chce mi się prawie wrzucić go do wody! Czy panbyś skoczył za nim? rzekła, machając kapeluszem i patrząc po przez kładkę, przy której siedziała, w głęboką, ciemną wodę, znajdującą się u dołu, w kierunku prawie prostopadłym.

— Gdyby to było coś z rzeczy pani, nie z moich, skoczyłbym dość rychło...

Popatrzyła nań z jakimś niespokojnym błyskiem w oczach.

— Nie powinienes pan mówić mi banalności, mój panie! Zobaczymy.

I wyjąwszy rękawiczkę z kieszeni, trzymała ją nad wodą. Oboje znajdowali się w owym stanie tłumionego podniecenia, które eksperyment taki czyniło dla każdego z nich niebezpiecznym. Oczy ich spotkały się i ani drgnęły. Gdyby upuściła ją, byłby na pewno skoczył.

— Zresztą, byłoby to zadawać sobie zbyt wiele kłopotu dla rękawiczki. Jeśli pan o nią tak troskliwy, oddam ją panu!

— To mówiąc, wyciągnęła ku niemu rękę,

a twarz jej miała przytem wyraz jakiś niezbadany. Zerwał się z ziemi.

— Magdaleno, czyżbyś przez to rozumiała?... zapytał głosem ledwie dosłyszczanym, z twarzą, zbielałą prawie.

Ona zmięła pośpiesznie niefortunną rękawiczkę w kieszeni.

— Boże, biedny pan! krzyknęła Magdalena, a dziki ogień jej oczu w jednej chwili zgasł, ustępując miejsca łzom współczucia. Czyżby panu tak o nią chodziło?

— Wszystko jest mi tak drogie! odrzekł szorstko.

Ale jakby na szczęście, w tej samej właśnie chwili nadbiegł Will Taylor, ścigany przez Laurę, oddając się w opiekę Magdaleny. Okazało się, iż był się przyznał do posiadania jakiejś tajemnicy, a oblegany przez Laurę zapytaniami, odmówił wyjawienia jej.

— Nie mogę doprawdy dawać opieki młodzieńcowi, który nie chce wyjawić tajemnicy pannie, rzekła Magdalena poważnie. Samo już niepowiedzenie jej sekretu, gdy się o to nie było proszonym, przedstawiałoby czyn dość naganny, ale odmowa pomimo prośby jest obrażą, domagającą się kary najsurowszej.

— Ale na tem nie koniec jeszcze, mówiła Laura, instygując dalej i machając pręcikiem, którym go ścigała.

— Pozwalał sobie mówić w sposób obrażający.

— Cóż powiedział? ozwała się Magdalena z powagą sędziowską.

— Spytałam, czy był pewny, że o sekrecie tym nie wiem jeszcze? Odpowiedział: tak; zapytałam, zkąd ma tę pewność, a on mi odpowiada: bo inaczej wszyscyby już wiedzieli...

To znaczy, że ja nie umiem zachować tajemnicy.

— Co raz to gorzej, młodzieńcze! rzekł sędzia surowo. Jedyna dla ciebie droga—to uderzyć się w piersi i zdać się na łaskę sądu. Jeżeli sekret okaże się dobrym, ukarzę cię możliwie łagodnie.

— Idzie tu o nowego subjekta aptekarskiego, tego, który ma zająć miejsce George'a Bayley'a, rzekł Will, śmiejąc się.

— O, mów że pan prędszej! zawołała Laura.

— Ja tam nie chcę wiedzieć, kto to jest, nie będę go lubiła, rzekła Magdalena. Biedny George! A myśmy tu wszyscy już o nim zapomnieli przy tej zabawie.

— Jak się nazywa nowy subjekt? zapytywała Laura niecierpliwie.

— Harrison Cordis.

— Jak?

— Harrison Cordis!

— Dziwaczne jakieś imię! — rzekła Laura, nigdy go nie słyszała.

— Nie, odparł Will, przybywa prosto z Bostonu.

— Czy ładny?

— Doprawdy, nie wiem. Sądzę, że Parker zapomniał o tym warunku, chociaż powinien byłby o nim pamiętać, gdyż powierzchowność subjekta jest najgłówniejszą rzeczą przy sprzedaży wody sodowej, bo jedynie dziewczęta ją piją.

— Ma się rozumieć! zawołała Laura ze szczerością. Ja nie piłam wcale przez całe zeszłe lato, gdyż ponure oblicze biednego George'a odbierało mi zawsze ochotę. Nie myśl pan sobie zresztą, wszyscy będziemy mieli jutro w kościele sposobność zobaczyć, jak on wygląda.

Po tych słowach obie dziewczyny odeszły razem w celu zastawienia stołu do uczy.

Biesiadnicy powrócili do domów dopiero o zachodzie słońca, ale Henryk nie miał już zreczności rozpoczęcia z Magdaleną rozmowy, przerwanej w miejscu tak zajmującym.

IV.

Przybycie kogoś obcego było w małym świecie newillskim wydarzeniem znacznej doniosłości. Mr. Harrison Cordis, nowy subjekt w składzie aptecznym, mógł aż nadto uczuć się przyjemnie połączanym powszechną uwagą, jaką obudził nazajutrz w kościele, szczególnie wśród piękniejszej połowy zgromadzenia. Bynajmniej jednakże, nie okazując ztąd żadnego zmieszania, tak dalece odpłacał się on wzajemnością, iż ku końcowi nabożeństwa przynajmniej słowa dziewcząt uważała go za swego jeńca. Wszystkie zgadzały się, że był bardzo ładny, chociaż Laura utrzymywała, że, jak na mężczyznę, był trochę za mały. Istotnie, był bardzo drobny. Postawę miał wysmukłą, lekką i wytworną. Posiadał delikatne ręce i nogi, szerokie czoło, ciemno niebieskie śmiejące się oczy, krótkie, kędzierzawe, lniane włosy i mały wąsik nad ustami tak ponętne, jak usta dziewczyny. Ale panie oświadczyły, iż sposób jego zachowania jest jeszcze bardziej pociągający od powierzchowności. Zachwycone były jego łatwym obejściem i niezmordowaną a drobiazgową grzecznością. Pięknieśmiescowi nazywali go pogardliwie „światowcem”, potajemnie zaś tęsknili do tego, aby być do niego podobnymi. Jednakże krytyka bardziej surowa, niż ta, jakiej podlegał, byłaby odkryła w zachowywaniu się Cordisa pewną wadę, to mianowicie, że pod pozorem wyższego tonu i

towarzyskiej swobody, skłonnym bardzo był do zbyt wolnego obchodzenia się z nowymi swymi znajomymi, oraz do wyzyskiwania ich prostoty na własny rachunek. Czuł widocznie, że się znajduje na wsi.

Pierwszej zaraz soboty po nabożeństwie wieczorem skłonił Fanny Miller, u której ojca zamieszkał, aby zapoznała go z Magdaleną, później zaś odprowadził tę ostatnią do domu, starając się być bardzo przyjemnym, i na uwieńczenie swojej śmiałości poprosił ją o pozwolenie bywania. Fanny, która szła razem z nimi, rozgadała później o tym wypadku, co wywołało też niepospolite wrażenie wśród dziewcząt, gdyż zwyczajem było konkurentów newillskich posuwać się bardzo stopniowo. Laura bardzo gorąco wyraziła przed Magdaleną oburzenie swe z powodu tak bezwstydnego postępku, ale młoda panna znajdowała, iż niema w tem nic a nic złego; przy tej sposobności Laura zapomniała się cokolwiek i napomknęła, iż z korzyścią byłoby dla jej przyjaciółki, gdyby [sądziła inaczej. Magdalena odpowiedziała dość ostro, następstwem zaś tego była pewna utarczka, z której Laura wyszła pokonaną, jak to zdarzało się zazwyczaj tym, co rozpoczynali spory z Magdaleną. Tymczasem rozchodziła się wieść, że Cordis skorzystał z pozwolenia, o jakie prosił, oraz że, co większa, rozmawiał z nią kilka razy na poczcie.

Ponieważ skład apteczny znajdował się tuż przy poczcie, przeto łatwo mu było, pod pretekstem dowiadywania się o listy, przejmować każdego, kogo chciał tam spotkać. W sobotę Fanny Miller dała małą herbatkę, w celu szerszego zapoznania Cordisa z miejscowem towarzystwem. Przy tej sposobności wyróżniał on swemi względami Magdalenę w sposób tak wy-

bitny, że inne dziewczęta zostały nieco urażone. Laura, mając sprawę swego brata na sercu, miała o wiele poważniejsze powody być niezadowoloną z takiego obrotu rzeczy. Wszyscy zauważyli, jak dziwnie zmieniła się Magdalena owego wieczora. Była tak dalece podbitą i spokojną, że ani trochę nie przypominała siebie samej. Po skończonej zabawie, Cordis poszedł do domu z Magdaleną i Laurą, których droga była jednaka.

— Jestem nad wyraz szczęśliwy, mówił idąc z Laurą, a po rozstaniu się już z Magdaleną, iż mam sposobność towarzyszyć dwom pięknościom newillskim na raz.

— Nie jestem tak niemądra, jak się wydaję, panie Cordis, odrzekła nieco cierpko. Nie chciała pozwolić, aby myślał, iż tak samo, jak Magdalenie, zawróci głowę każdej dziewczyny newillskiej swoją wielkomięską postawą i komplementami.

— Mogłabyś pani być taką i nie zważać na to, dzięki swej powierzchowności, odparł Cordis, starając się złagodzić jej słowa i przypatrując się jej ze szczerym podziwem, co wywołało rumieniec na jej policzkach, chociaż było jej bardziej przykro, niż przyjemnie.

— Chcę powiedzieć, że nie lubię pochlebstwa.

— Jesteś pani tego pewna? zapytał z pozornym zdziwieniem.

— Rzecz prosta. Cóż za pytanie!

— Przepraszam; pytałem się tylko dla tego, żem nigdy nie spotkał kogoś, coby tego nie lubił.

— Nigdyś pan nie spotkał kogoś, coby nie lubił słuchać o sobie rzeczy nieprawdziwych, a wypowiedanych jedynie dla tego, że ktoś uważa nas za dość niemądrych, abysmy w nie uwierzyli?

— Nie spodziewałem się bynajmniej, że pani uwierzy—tylko próżni ludzie wierzą w pochwały im odawane; ale co do mnie, to miałbym za nic przyjaciół, którzyby nie myśleli lepiej o mnie, niż ja sam, i którzyby mi czasem nie powiedzieli też czegoś lepszego.

Stali przez chwilę w bramie domu Laury, gdy właśnie Henryk powracał z fabryki broni, której był kierownikiem; minawszy ich, wszedł do domu.

— Czy to brat pani? zapytał Cordis.

— Tak.

— Dobrze się robi człowiekowi, gdy popatrzy na tak potężnie wyglądającego młodzieńca. Czy brat pani żonaty, jeśli zapytać wolno?

— Nie, panie!

— Rozumie pani, panno Burr, iż wszedłszy w nowe koło znajomych, tak jak ja, często się czuje w położeniu dwuznacznem z powodu nieznamości stosunków pomiędzy osobami, jakie się spotyka — dodał jeszcze, stając w obronie swoich zapytań.

Laura spostrzegła upragnioną sposobność i szybko skorzystała z niej.

— Brat mój oddawna zajęty jest panną Brand. Są oni prawie, jak narzeczeni. Dobranoc, panie Cordis!

Zdarzyło się, iż w kilka dni po tej rozmowie Magdalena, wracając pewnego południa do domu i spojrzawszy po za siebie przy zbiegu dwóch ulic, spostrzegła Harrisona, idącego za nią do domu na herbatę. Idąc ciągle z taką samą szybkością, byłaby dosięgła domu pierwej, zanim on zdążyłby ją dogonić; gdyby jednak zwolniła trochę kroku, mógł się z nią zrównać jeszcze. Krok jej stał się wolniejszym. Zarumieniła się na myśl o tym postępku, ale nie pośpieszyła się.

Najbardziej niebezpiecznymi dla kobiet kochankami są mężczyźni takiego, jak Cordis, temperamentu kobiecego. Dzięki subtelności i wrażliwości własnej swej organizacyi, czytają oni w sercu kobiety tak łatwo i tak dokładnie, jak one same. W lot odkrywają i tłumaczą sobie najmniejsze zmiany tonu, wyrazu i znaczenia, zdradzające istotny stan rzeczy daleko pewniej, niż oznaki bardziej widoczne. Cordis z uśmiechem zadowolenia spostrzegł jej spojrzanie wstecz i zwolnienie kroku. Ośmiało go to, pomimo krótkiej znajomości, do posuwania się po drodze, jaką obrał.

— Dobry wieczór, panno Brand! rzekł, doganiając ją. Sądzę, że nie bardzo to pięknie przyspieszać kroku, słysząc, że ktoś usiłuje panią dopędzić.

— Nie myślałam tego robić z pewnością, odrzekła, ciesząc się, że mogła powiedzieć prawdę; nie podejrzewała biedaczka, że on o prawdziwości jej słów wiedział.

— Nie zawsze jest to rzeczą korzystną. Nie może pani wiedzieć często, kto ją dogania. Teraz np. mógłby to być pan Burr na miejscu mojem.

Zrozumiała natychmiast. Ktoś musiał mu powiedzieć o zajęciu się nią Henryka. Szczęra złość, uczucie, do którego przed chwilą uważałyby się jaknajbardziej niezdolną, wybuchnął w jej sercu przeciwko osobie, która mu to powiedziała. Przez kilka chwil nie mogła zapanować nad sobą, aby zacząć rozmowę. Nakoniec rzekła:

— Nie rozumiem pana. Dla czego pan mówi mi o panu Burr?

— Przepraszam! Nie powinienem był tego uczynić.

— Niech pan objaśni mi, co to znaczyło.

— Pani wybaczy mi, mam nadzieję, rzekł, zrozpaczony napozór tem, że się jej naraził. Była to z mojej strony niedyskrecyja nie do przebaczenia, ale ktoś mi powiedział o tem, a przynajmniej tak rozumiałem, żeście państwo ze sobą zaręczeni.

— Więc ktoś powiedział panu nieprawdę. I z ukłonem jakgdyby urażonej godności weszła do bramy domu, dokąd przez chwilę nie miała najmniejszego zamiaru wstępować. Gdyby się znajdowała z nim w czólnie, skoczyłaby raczej do wody, a nie przedłużała więcej rozmowy po tem, co mu powiedziała. Automatycznie przeszła ścieżkę i zastukała do drzwi. Zanim pani domu drzwi nie otworzyła, Magdalena nie wiedziała jeszcze, do kogo właściwie wstępuje.

— Dobre południe! Magdaleno. Cieszę się, że cię widzę, tak dawnoś mnie nie odwiedzała...

— Bardzo mi przykro, pani Tuttle, ale i dzisiaj nie mam czasu zatrzymywać się dłużej. Czy... czy pani ma... jakiś wzór do fartuszka? Chciałabym go pożyczyć.

V.

Henrykowi nie udało się być w kościele owego sobotniego wieczora, kiedy Cordis otrzymał prawo bywania u Magdaleny; nie był też on na herbacie u panny Miller. O szybko postępującej flirtacyi pomiędzy swoją ukochaną a ładnym subjektem aptecznym nie miał przez cały ten czas najmniejszego pojęcia. Spędzając dni całe od świtu do zmroku w warsztatach pomiędzy ludźmi, nie miał on czasu na słuchanie tego rodzaju wieści; Laura zaś, która zazwyczaj wtajemniczała go we wszystkie nowiny miasteczka, uznawała teraz za najlep-

sze nie mówić mu nic jeszcze o swoich podejrzeniach. Wiedziała ona, że stosunek pomiędzy jej bratem a Magdaleną zasadzał się głównie na miłości z jego strony, a знаła dość jej upór, aby być pewną, iż wszelkie bardziej natarczywe usiłowanie z jego strony tylko pogorszyłyby sprawę. Nadto, uprzedziwszy teraz Cordisa, że Magdalena była już własnością nawpół nabytą, miała nadzieję, iż zwróci on swoją uwagę gdzieindziej.

To też, podczas kiedy połowa miasteczka zagadywała się na śmierć o flirtacyi młodego subiekta z Magdaleną Brand, a Laura spędzała noce bezsenne, złościąc się na to, Henryk wesoło chodził do roboty i wracał od niej w stanie błogiej niewiadomości. A błogo mu było bardzo. Cieszył się na myśl o postępach, jakie w zalotach swych zrobił podczas zabawy; powiedział jej o swojej miłości, pocałował ją. Jeżeli go nie przyjęto jeszcze, to w każdym razie nie odrzucono; a było to powodzenie dość wielkie, aby mogło oszołomić tak gorącego i pokornego wielbiciela, jak on. Istotnie, któryż z kochanków nie nabrałby odwagi, przypominając owo słodkie współczucie, co jaśniało w jej oczach, gdy jej wyjawiał swoją zapamiętałą miłość? Spełnienie się tych marzeń, o jakich zaledwie śmiał myśleć, iż czekają nań w dalekiej przyszłości, było już może tuż blisko! Okoliczności sprzyjały przedłużaniu się tych snów różanych. Nagły wzrost zamówień zmuszał go do pozostawania w fabryce od rana do późnej nocy. Zaledwie jakoś wynalazł sposób odwiedzenia Magdaleny pewnego wieczora, ale wyszła była z domu, i nie mógł się z nią zobaczyć. Jakoż w dziesięć dni może po owej majówce odwiedził ją poraz drugi i tym razem zastał. Zdarzyło się,

iż był to właśnie wieczór tego samego dnia, kiedy się odbyła opisana w rozdziale ostatnim rozmowa pomiędzy Magdaleną a Cordisem.

Nie zaraz wyszła do gościa, i Henryk przez jakiś czas musiał czekać na nią w bawialni; na przywitanie podała mu rękę w sposób jakiś martwy. Mówiła, iż cierpi na silny ból głowy, i zdawała się chcieć pozostawiać jemu obowiązek mówienia. Zaczął coś o majówce, ale ona odparła z niejaką cierpkością, iż było to tak dawno, że o wszystkim już zapomniała. Jej wydawało się to bardzo dawnem, ale dla niego było to bardzo świeżem. To chłodne pomijanie wszystkiego, co wpłynęło wówczas na zmianę ich stosunku, jednym ciosem odjęło mu wszystkie myśli o przeszłym tygodniu, pozostawiając go jakgdyby w powietrzu. Czuł, że chwila nie sprzyjała poruszaniu tej sprawy, lecz nie mógł ani na sekundę zwrócić myśli ku czemuś innemu, dla Magdaleny zaś zdawało się być rzeczą całkiem obojętną, czy wogóle będzie się jeszcze mówiło cokolwiek. Nakoniec, wysiłkiem większym, jak się zdawało, niż potrzeba, Henryk zdobył się na uwagę:

— Pan Taylor, jak się zdaje, porobił znaczne zmiany w swym domu. Czy tak?

— Sądziłabym, iż powinienes pan wiedzieć o tem lepiej od innych. Przechodzisz pan codzień koło jego domu, brzmiała odpowiedź.

— Prawda! istotnie wiem, odrzekł Henryk, wpatrując się w nią.

— Takem też myślała, ale pan powiedział, „czy tak?” więc naturalnie sądziłam, że nie był pan całkiem pewny.

Widocznie drwiła zeń, ale wyraz jej twarzy był niezbadany. Zdawało się tylko, że cierpliwiej i jakgdyby głosem zmęczonym wyja-

śnia nieporozumienia. Bawiąc się wachlarzem, miała najniechybniejszy wyraz lekkiego znużenia.

— Panno Magdaleno, czy wiesz, cobym powiedział o tobie, gdybyś była mężczyzną? rzekł rozpacznie, usiłując jednak się uśmiechnąć.

— To dobre! — a oczy jej miały jakiś wyraz nieugięty — jeżeli pan wolisz towarzystwo męskie, to lepiejbyś go poszukał, zamiast dręczyć mnie przypuszczeniem, iż jestem mężczyzną.

— Zdaje się, iż nic dzisiaj nie mogę powiedzieć do rzeczy.

— Sądzę, że mówisz pan trochę dziwnie, do dała z bladym uśmiechem. Wyglądała przytem, jak cierpliwy męczennik.

— Co się z panią dzieje dzisiaj? Magdaleno, powiedz mi na Boga! wykrzyknął wreszcie, ogarnięty nagłym żalem i trwogą.

— Sądzę, iż powiedziałam panu, że cierpię na ból głowy, a chciałam istotnie, abyś pan nie posługiwał się trywialną mową, odrzekła, patrząc nań szklannemi oczami.

— To wszystko? tylko ból głowy?

— Dość tego, zapewniam pana. Czyż chciałbyś, abym oprócz tego miała ból zębów?

— Wiesz pani, że tego nie myślałam.

— Dobrze, a więc ból uszu? rzekła głosem zmęczonym, pozwalając głowie opaść na poręcz krzesła, jakgdyby utrzymanie jej przekraczało jej siły, i przytykając oczy do polowy.

— Przepraszam panią, nie powinienem był jej zatrzymywać, już idę!

— Nie śpiesz się pan, zauważyła konająco.

— Mam nadzieję, że jutro będzie pani lepiej. Podał jej rękę, a ona złożyła w niej swoją przez chwilę, ale cofnęła ją, nie odpła-

ciwszy mu uściskiem; odszedł, strasznie udreżony i rozczarowany gorzko.

Ogarnąłby go jeszcze większy niepokój, gdyby mu powiedziano, że Magdalena nie tylko nie zapomniała o tem, co się zdarzyło na majówce, ale w rzeczywistości, przez całą jego bytność, o niczem innem prawie nie myślała. Pamięć ta czyniła ją właśnie tak chłodną względem niego, nadawała tak ostry ton jej słowom i ową obojętność zimną całemu jej obejściu. Gdy wyszedł, stała, patrząc za nim przez okno bawialni i szepcąc do siebie:

— Dzięki Bogu, nie jestem jego narzeczoną. Jak też ja mogłam myśleć, że kiedykolwiek wyjdę za niego! O, gdyby o tem dowiedziała się która!...

Henryk nie mógł się uspokoić, dopóki by jej nie zobaczył znowu, dopóki by się nie dowiedział, czy chłód jej był tylko kaprysem zalotności, czy też czemś więcej. Pewnego wieczora, kiedy dzięki długiemu zmierzchowi nie było jeszcze ciemno, odwiedził ją znowu. Przyszła mu otworzyć w kapeluszu i rękawiczkach. Zapytał się, czy miała wychodzić? Odrzekła, iż chciała właśnie pójść przez ulicę z wizytą, zbyt długo już odkładaną, lecz że teraz, kiedy on przyszedł, nie pójdzie. Ależ nie! on by jej nie zatrzymywał; przyjdzie później. Zawahał się jednak chwilę, stojąc na progu, ona zaś bawiła się guzikiem rękawiczki. Nagle podniósł oczy i spojrzał na nią w sposób jakiś dziwny. Ona raptem cała zajęła się rękawiczką, zdawało mu się jednak, że policzki jej zlekka pokraśniały. Właśnie w chwili kiedy rachował, że nie będzie już mogła dłużej unikać jego wzroku, krzyknęła:

— Boże, cóż za utrapienie! Drugi guzik odpadnie. Muszę go przyszyć przed pójściem,

i spójrzała nań z wyrazem czarującej szczerości, jakgdyby prosiła o współczucie, jednocześnie zaś dawała widocznie do zrozumienia, iż niezbędnych poprawek dokonać musi niezwłocznie.

— Nie będę więc pani zatrzymywał, odrzekł Henryk, trochę smutnie, i zwrócił się do wyjścia.

Czy przypadek ten był rozmyślny, czy potrzebowała tego, aby uniknąć go? nie mógł znieść tej myśli. A jednak, czyż mógł być bardziej szczerzy i słoneczny uśmiech, jak ten, którym odpowiedziała na jego ukłon pożełnalny?

W sobotę Laura i Henryk byli na nabożeństwie wieczornem.

— Dziwna rzecz, że nie było Magdaleny. Nie wiesz, dlaczego? mówił, powracając do domu.

— Nie.

— Tyś nie tak dobra dla niej, jak zwykle. Co się stało?

Nie odpowiedziała nic, gdyż właśnie tej samej chwili, na zakręcie ulicy spotkali się z młodą osobą, o której mówili. Była uśmiechnięta; szczęśliwa z pozoru i bardzo ładna; miała rumieńce na obu policzkach, a obok niej siedł nowy subjekt apteczny. Zdawała się być trochę zmieszana, spotkawszy Henryka, i przez chwilę jakgdyby unikała jego wzroku. Nagle, z pewną brawurą, dziwnie mieszającą się z jakimś wyrazem twarzy, który ją poniżał, podniosła nań oczy i ukłoniła się.

Pierwszy to raz dowiadywał się on o istotnej przyczynie jej ochłodnięcia. Automatycznie szedł i szedł dalej, zbyt odurzony na razie, aby mógł myśleć, i tylko czuł, że czeka go okropna chwila myślenia.

— Możebyśmy lepiej wrócili, mój drogi, rzekła Laura bardzo łagodnie.

Obejrzał się. Byli o jaką milę lub dwie za miasteczkiem, na samotnej sielskiej drodze. Zwrócili się, a ona, głosem miękkim, jak dotknięcie czułej ręki do bolącego miejsca, rzekła:

— Wiedziałam o tem oddawna, ale nie miałam serca ci powiedzieć. Przyjęła go odrazu. Nie bierz tego zbyt do serca, ona nie warta ciebie.

Słodkie współczucie, płonne słowa! Czyliż jest jakie uczucie posiadania, bodaj nawet poczucie własnej jaźni, któreby dorównywało temu, co czuje kochanek względem przedmiotu swojej miłości. Myśl jego i uczucia, pomimo krótkiego czasu, tak się zrosły z nią, tak ją ogarnęły, jak stwardniała glina okrywa porzebrany przed wiekami kwiatek kopalny. Zda się raczej, iż znalazł on ją w głębiach własnego serca, nie w świecie zewnętrznym, wśród przedmiotów postronnych. Nigdy nie była mu obcą. Inaczej, nie miałby przecież tego intuicyjnego zmysłu zespolenia się z nią, który sprawia, że każdy jej rys, nowoodkrywany, jakkolwiek napawał go rozkosznym zdziwieniem, jednakże zdawał się ją tylko bardziej ku niemu przybliżać, jakgdyby odpowiadał jakiemuś istniejącemu dawniej idealnemu wzorowi jego własnego serca, jakgdyby był czemś takim, co innem być nie mogło. Później, po latach wielu będzie on może bogatym w ziemię i pieniądze, ale nigdy już nie dozna tego uczucia bezwzględnej prawa—i jakgdyby przed wiekami przeznaczony mu własności, jakiego przed laty wielu doznawał względem tego słodkiego dziewczęcia, które stało się żoną innego. Niestety bowiem, ten niezgwałcony napozór, boski

tytuł własności, w istocie bynajmniej nie jest tak pewnym. Miłość ma tysiące sposobów złamania rękojmi. Prawa, jakie daje kochankom, biorąc od nich wzamian pierwsze płody ich serca, jak się okazuje niekiedy, nie mają siły prawnej zgoła. Jednocześnie prawie ten sam tytuł własności nadaje się kilku pretendentom, a ten, który stanie się ostatecznym władcą, dość często nie miewa żadnego, z miłości płynącego, tytułu.

Henryka spotkał cios silny. Ale był w nim jakiś upór ponury, niepozwalający mu dać za wygraną, dopóki by ostatecznie nie wypróbował swego losu. Miłość jego wolną była od próżności, gdyż Magdalena nie dawała mu nigdy żadnego istotnego powodu myśleć, że go kocha, a tem samem niebezpieczeństwo jeszcze jednego jakiegoś albo dwóch zatargów więcej nie mogło go bynajmniej odstraszyć. Jednego z dni najbliższych opuścił fabrykę popołudniu i poszedł do niej. Obejście jej było sztywne i chłodne, jakgdyby już rachowała, że zażąda od niej sprawy, i była do tego przygotowana. On jednak przeciwnie starał się być tak uprzejmym i zadowolonym, jakgdyby był najszcześliwszym z kochanków. Kiedy zapytał jej, czy nie chciałaby się z nim przejechać, widocznie chwilowo została zbitą z tropu. Na wyrzuty była przygotowana, ale nie na tę uprzejmą propozycję. Zapanowała jednak nad sobą w gnieniu oka i rzekła:

— Doprawdy, jestem bardzo obowiązana, bardzo to pięknie ze strony pana, ale matka moja czuje się niezbyt dobrze dzisiaj, i sędzę, że nie powinna jej opuszczać.

Tłumiąc w sobie chorobliwe uczucie zwątpienia, Henryk rzekł, jak mógł, najuprzejmiej.

— Doprawdy, bardzo mi smutno. Czy matka pani poważnie chora?

— O, nie, dziękuję panu. Myślę, że jutro będzie zupełnie zdrowa.

— To możeby pani pojechała jutro popołudniu, jeżeli jej będzie lepiej? Droga nadrzeczna, którą pani tak podziwia, jest teraz w całej swej krasie letniej.

— Dziękuję panu. Doprawdy, pan zanadto dobry, ale sądzę, że jazda mogłaby mię później przyprawić o ból głowy.

Sposób odpowiadania, jak najzupełniej zresztą grzeczny, zrobił jednak na nim wrażenie, iż niewłaściwie tak nalegał. Zapanowało kłopotliwe milczenie przez chwil kilka, i Henryk miał już właśnie wybuchnąć Bóg wie jakimi wykrzyknikami i prośbami, gdy Magdalena powstała, mówiąc:

— Niech mi pan przebaczy... chwilę jedną. Zdaje mi się, że słyszę wołanie mamy.

Wyszła z pokoju. Była przez jakiś czas nieobecna, później wróciła i usiadła znowu, ale z wyrazem roztargnienia i silnego zajęcia na twarzy; to też Henryk nie naprzykrzał się dłużej.

Następnego czwartku wieczorem był na nabożeństwie z zamiarem towarzyszenia Magdalenie do domu, jeśli mu pozwoli, a przynajmniej z zamiarem poproszenia jej o to. Była tam obecna, jak zwykle, i siedziała u stóp organów. Na kilka minut przed dziewiątą wszedł do modlitewni Cordis, widocznie z celem li tylko odprowadzenia jej do domu. Henryk z ponurą zaciętością czekał, iżby wybierała pomiędzy nimi—tam zaraz, wobec wszystkich. Odśpiewano hymn końcowy, a gwar odchodzących zdawał mu się dźwięczyć gdzieś daleko. Wstał i zajął swe miejsce w pobliżu drzwi

z twarzą bladą, zaciśniętymi wargami, niebaczny na wszystkich obecnych. Cordis, którego znał tylko z widzenia, stał w pobliżu, uśmiechając się słodko i witając przechodzących koło niego znajomych.

W ogólności Magdalena dosyć lubiła emocyję wybierania pomiędzy dwoma rywalami, ale teraz wolałaby o wiele bardziej uniknąć tego publicznego wyboru. Zaczynała się już smucić z powodu Henryka. Możliwie długo zamykała melodeon, otwierała i zamykała go znowu. Nakoniec, nie znajdując już żadnego pretekstu do odkładania, zaczęła z wolna stapać po nawie, trochę poblądłszy. Niektórzy z miejscowej młodzieży, znając położenie rzeczy, oczekiwali, uśmiechając się do siebie, ciekawi końca uciechy; sam Cordis przyglądał się tragicznej powierzchowności swego współzawodnika z wyrazem zabawy na twarzy, a jednocześnie zdawał się być całkiem gotowy do zmierzenia się z nim na ostre.

Za zbliżeniem się Magdaleny do drzwi, Henryk wystąpił naprzód i ochryplym głosem zapytał, czy może jej towarzyszyć. Ukłoniwszy mu się z wdzięcznym uśmiechem odmowy, rzekła:

— „Dziękuję”, i, podawszy ramię Cordisowi, wyszła z nim razem.

Gdy weszli już w okrytą cieniami nocy ulicę, minawszy światło przybramnych latarni kościoła, Cordis zauważył:

— Doprawdy, było to tragiczne. Spodziewałem się, że wyjmie rewolwer i zastrzeli nas oboje. Nieborak, żal mi go, doprawdy!

— Powiedziałałabym, iż on był bardziej smutnym, niż pan jesteś rad, rzekła Magdalena.

— No, nie wiem; ja jestem rad tak, jak mogę, przypuszczam, iż on jest tak, jak może być,

smutny. Nie mogę sobie wyobrazić mężczyzny, zakochanego w takiej, jak pani, kobiecie, któryby nie był ciągle w jednym albo drugim z tych stanów.

Ale ton jego był trochę, troszeczkę chłodniejszy od słów, i bystre jej ucho wnet pochwyciło tę różnicę.

— Cóż się stało? Czy pan się czem zmarł? Cóżem ja uczyniła? pytała się głosem pełnego niepokoju poniżania się, głosem, jakiego nikt, oprócz Harrisona, z jej ust nie słyszał.

— Nie nie zrobiłaś, odrzekł, otaczając ręką jej kibić w chwilowym uścisku kojącym. Tylko ja jestem zbyt porywczy. Sądząc ze sposobu ścigania ciebie przez tego Burra, nie mogę się uwolnić od myśli, iż ostatecznie musiało coś być prawdziwego w tej historii o waszem narzeczeństwie.

— To nieprawda! Nigdy nie byłam jego narzeczoną! Nie mogłam go znosić... Nie lubiłam go. Tylko on... on...

— Ja nie chcę wdzierać się w pani tajemnicę. Niech się pani nie spowiada. Nie mam żadnego prawa żądać od niej rachunku, przerwał Cordis cokolwiek sztywnie.

— Proszę, niech pan tak nie mówi! O, proszę, nie mów pan w ten sposób! krzyknęła ona, jakgdyby słowa te krajały ją, jak nożem. On mnie lubił, ale ja jego nie lubiłam. Do prawdy, nie lubiłam! Czy pan mi wierzy? Co ja pocznę, jeśli pan mi wierzyć nie zechce?!

Nie należy sądzić, że Cordis natchnął Magdalenę tak nagle i silnym uczuciem, nie doznając sam niczego wzamian. Olsniony był odrazu świetną, piękną postacią dziewczyny, i zazdrość jego była przynajmniej nawpół prawdziwą. Jej żaloszny smutek z powodu lek-

kiego oziębienia jego rozbudził w nim tkliwość. Nastąpiło namiętne pojednanie, którego ofiarą padł biedny Henryk. Teraz, kiedy groził jej wydarciem uśmiechów ukochanego, litość jej dłoń zmieniła się w odrazę. Mówiła sobie, że niskiem było i okrutnem z jego strony tak ją ścigać. Nie przyszło nigdy jej na myśl, że niepięknem było postępowanie Cordisa, robiącego jej wyrzuty za to, iż nie żyła nim jedynym wtedy, gdy jeszcze nie wiedziała o jego istnieniu. Skłoną była raczej przejść na jego stronę i ganić siebie za to, że nie odgadła duchem jego przyjścia, co powinno było uczynić z niej mniszkę sercem i duszą.

Następnego wieczora, o zmroku Henryk błąkał się bez celu, smutnie po ulicach, gdy nagle oko w oko spotkał się z Magdaleną. Zrazu zdawała się być nieprzyjemnie tem uderzoną, i poruszyła się tak, jakgdyby chciała go minać, nie dawszy mu sposobności pomówienia. Potem zmieniła widocznie zamiar i, stanąwszy tuż przed nim, rzekła niskim głosem:

— Możebyś pan był łaskaw dać mi z tem wszystkim pokój. Względy pańskie nie są pożądane.

Nie dając mu możności odpowiedzenia, wymięła go i poszła śpiesznie ulicą. Henryk oparł się o zagrodę i stał nieruchomo przez czas długi. Było tu wszystko, czego potrzebna, aby stratę jego uczynić zupełną—gniewne słowo od niej. Nakoniec, wargi jego poruszyły się zlekka i—powoli, ochryplym i nad wyraz żalonym wymówiły szeptem:

— Więc to już koniec!...

VI.

Była w miasteczku jedna przynajmniej osoba, która z całą rozkoszą śledziła powodzenie

nowego subiekta u piękności newillskiej. Osobą tą była Ida Lewis, owa dziewczyna o szczupłej kompleksyi i pięknych ciemnych oczach, która żywiła beznadziejną skłonność do Henryka; teraz, kiedy on stracił tę dumną pannę, Ida nieśmiało upewniała siebie, że może jej sprawa nie jest tak beznadziejną. Nadto, Laura powzięła myśl, że mogłoby tak być istotnie, a, spodziewając się przynajmniej rozerwać brata, o którego się zaczynała bardzo niepokoić, zapraszała Idę parę razy na herbatę i przez różne inne wybiegi, tak właściwe sprytnym niewiastom, usiłowała postawić ją na jego drodze.

Co do Henryka, to zrazu był on tak pochłonięty, iż wcale tego nie zauważył; jednego wszakże wieczora, gdy Ida była u nich na herbacie, nagle odsłoniło się to przed nim, a twarz jego pokraśniała przykrem zakłopotaniem. Nigdy nie czuł się tak zagniewanym na Laurę, jak w tej chwili. Miał już zamiar powiedzieć jej coś bardzo przykrego. Czyżby nie umiała nawet uszanować jego smutku? Z trudnością powściągnął w sobie chęć wstania od stołu i porzucenia ich. Wreszcie, z tą szybkością, jaka cechuje natury podnioslejsze, uczucia jego zmieniły się, i dojrzał on, jak dalece zmiękczył go własny jego smutek względem tych wszystkich, co cierpieli w taki sam sposób. Wzrok jego mienił się współczuciem, gdy spostrzegł, jakich wysiłków używała siedząca przed nim dziewczyna, roztaczając przed nim skromne swoje powaby w nadziei zaskarwienia jego spojrzeń. Samo zaś ubóstwo jej wdzięków czyniło wysiłki te bardziej tragicznymi. Henryk ganił własne swe oczy za to, iż z taką jasnością spostrzegały szpetność małych, niekształtnych rysów, piegowatość twa-

rzy, niewyraźne i nikłe kontury, potępiał siebie za okrucieństwo porównywania jej z przepyszną krasą Magdaleny. Bezmierna litość jakas wydobywała się z jego serca, aby osłonić i przeobrazić braki, i radby był, gdyby tylko możliwość pozwalala, na jej żądanie uczynić to kosztem własnej osoby.

Po herbacie poszedł do siebie karmić się temi przykreimi myślami, i jakkolwiek widok Idy był najpierwszem ich źródłem, to jednak później rozmyślał już o sobie i niebawem tak utonął we własnej swej nędzy, że całkiem zapomniał o niej, a ponieważ zapomniał też powrócić do dziewcząt, Ida musiała odejść do domu sama, co było dla niej wielkiem rozczarowaniem. Ale, być może, iż dla obojga ostatecznie dobrze się stało, że nie obcowali już z sobą tego wieczora.

Nie należy nigdy uważać za rzecz pewną, że wielkość smutku lub poczucie straty jest właściwą miarą błędu osoby, która stała się ich przyczyną. Magdalena nierozmyślnie była okrutną. Uczuwała ona smutek na myśl o Henryku, gdy suche jego wargi i błędny wzrok stawały jej przed oczami. Ale smutek ten był mglisty i daleki, jak w kimś takim, kto, wybierając się w odległą i radosną podróż, żałuje dawniejszych znajomych, których pozostawia, a których twarze, już z chwilą wyruszenia w drogę, poczynają zacierać się w jego pamięci. Zalety Cordisa rozbudziły jej serce, a w podniosłej i nowej dla siebie radości kochania gardziła ona skromną rozkoszą „być kochaną”, co aż do owej chwili było dla niej tylko wyrazem namiętności.

Henryk znajdował teraz, iż być dalej w miasteczku i patrzeć ku własnemu jego udręczeniu na postępy miłości Magdaleny i Cordisa

było rzeczą, przewyższającą jego siły. Zamiast oswajać się z położeniem, czuł, iż z każdym dniem staje się ono dlań coraz bardziej nieznosnym. Co wieczór myślał, że oto przebywają ze sobą razem, nabawiła go niepokoju i gorączki aż do północy, kiedy wreszcie przypuszczenie, iż Cordis opuścił już Magdalene, pozwalało mu nakoniec zasnąć.

A jednak, przez cały ten czas nie miał on żadnej szczególnej nienawiści do tego młodzieńca. Gdyby się znalazł w jego mocy, Henryk byłby go prawdopodobnie pozostawił niepoknętym. Wistocie, nie mógłby podnieść ręki przeciwko czemukolwiek bądź, co kochała Magdalena. Jakkolwiek wielkiem byłoby jego rozjątrzenie, sam już ten fakt uczyniłby jego współzawodnika dlań nietykalnym. To, że Magdalena się od niego odwróciła, było rzeczą główną; do kogo zwróciła się—sprawą mniejszej wagi. Troską jego było to, że ona kochała Cordisa, nie—że ten ostatni ją kochał. Jedynie ciasne i niskie natury mogą znajdować pociechę dla własnych rozczarowań w nienawiści do swych następców. Istotnie, jakkolwiek dziwnem to się wyda, jednakże, w najściślejszem i najprawdziwszem znaczeniu słowa, umysły światłe nie mają miejsca na takie uczucia, jak zazdrość. Sposób bowiem zbliżania się ku sobie dwojga serc jest nieuchronnie jakimś szczególnem skojarzeniem indywidualności, które w dziejach ludzkich ani przedtem, ani potem już się nie powtarza. Tak, że jeżeli możemy wyobrazić sobie kobietę, kochającą prawdziwie kilku mężczyzn, bądź jednocześnie, bądź kolejno, to nie będą ani współzawodnikami, gdyż sposób kochania ich przez nią, oraz jej przez każdego z nich, jest odrębny i jedyny, nawet wtedy, gdyby tylko dwóch ich

było na świecie. Im wyższym jest stopień umysłowości danych osób, im szerszymi są ich sympatyje, im bardziej subtelniemi wrażenia, tem zasada ta będzie prawdziwszą.

Henrykowi zdarzyła się bardzo dobra posada w pewnej fabryce broni w Bostonie. Ponieważ zaś miał już zamiar opuścić miasteczko, napisał, że ją przyjmuje, i niebawem sam podążył za listem, zobowiązawszy przedtem Laure, jedyną swoją newillską korespondentkę, aby w listach swych nie wspominała o Magdalenie.

— Jeżeli wyjdzie za mąż, dodał z naciśkiem, powiesz mi o tem dopiero w jakiś czas później.

Na nowem swem miejscu pracował lepiej może, gdyż był nieszczęśliwy. Wrogiem wszelkiej pracy jest zbyt łatwe powodzenie, zanadto łatwe zaspakajanie żądań, oraz owa dążność do lubowania się w luźnej kontemplacji życia i otoczenia, jaka wpływa ze stanu ciągłej pomysłności. Dolegające mu poczucie porażki i nieskończenie bolesnej straty, jakie napełniało teraz jego duszę, stało się podwaliną codziennych wysiłków w interesie i w robieniu grosza. Utracił władzę cieszenia się z rzeczy innych, będących zarazem nagrodą i ograniczeniem ludzkich pragnień. Praca była jego balsamem kojącym, a różnica pomiędzy robotą lichą, powierzchowną, oraz najbardziej pochłaniającą była poprostu różnicą pomiędzy słabszym a silniejszym narkotykiem. Wiodło mu się w interesach, posunięto go na stanowisko wyższe z dobrą pensyją, i, co większa, mógł teraz rozporządzać patentem na wynalazek pewnego rodzaju strzelby.

W nadziei oderwania umysłu od chorobliwego nurzania się w tem, co już minęło, zaczął

bywać w towarzystwach, pragnąć zająć się młodemi kobietami; nie udało mu się to jednak prawie w zupełności. Zaledwie poczynił się ludzi, że już zdobył spokój filozoficzny, widok jakiejś twarzy na ulicy, który przypomniał mu oblicze Magdaleny, akcent głosu, który przywoływał ją na pamięć, postać jej, ukazująca się we śnie—budziły na nowo w jednej chwili cały urok i całą gorycz dawną z taką samą siłą.

W osiem czy dziewięć miesięcy po opuszczeniu domu, pragnienie powrotu i zobaczenia, co też zajść mogło, stało się w nim nieprzeparte. Może nareszcie...

Chociaż ten blady błysk niepewności był jego własnem dziełem, a istniał dla tego tylko, że on sam zabronił Laurze pisać mu o czemkolwiek bądź przeciwnem nadziejom jego, to jednak znajdował w tem niejaką ulgę. Nie śmiejąc zwrócić się z zapytaniem do Laury, pozwalał jednak sobie marzyć, że mogło się być stać coś takiego, coby nadało sprawie inny obrót. Dalekim był od żywienia nadziei tej wyraźnie. Wyznawał przed samym sobą, iż, ani wątpić, wyszła ona już zamaż i że ją postradał na zawsze. Gdyby się zdarzyła jakaś nagła zmiana sytuacji, Laura niechybnie, nie tracąc ani chwili czasu, byłaby go zawiadomiła o tak dobrej nowinie. Dzieciństwem było myśleć inaczej. Ale żaden wysiłek rozumu nie mógł całkowicie zamknąć nadziejom dostępu do serca, i, jak płochliwy promień słońca, przekradała się do duszy jego i rozjaśniała jej ciemne myśli, że ostatecznie mogła ona być wolną. Pojechał.

Kiedy pociąg się zatrzymał w Newille, Henryk prześlizgnął się przez tłum na stacyi, możliwie najprędzej rozprawiając się ze znajo-

mymi, których spotykał, i udał się śpiesznie do domu ojca boczną uliczką.

Po drodze spotkał Harry Tuttle'a i nie mógł uniknąć przystanku, oraz zamienienia z nim słów paru. Podczas rozmowy owładnął nim strach paniczny, aby Harry nie wygadał się jakoś z zamażpójściem Magdaleny. Czuł on, że mógłby usłyszeć o tem jedynie z ust Laury. Kiedy ktoś inny otwierał usta, chłodna rosa występowała mu na czoło z obawy, że oto posłyszysz jakąś wzmiankę o Magdalenie; kiedy zaś rozstawał się, nie posłyszawszy tego, był tak osłabiony w nogach, jak ktoś, co wychodzi pierwszy raz po chorobie.

Widział teraz swoją głupotę, swoje szaleństwo, że pozwalał sobie tak długo kołysać się bezpodstawną nadzieją, która, jakkolwiek nigdy nie owładnęła jego istnieniem, tak dalece jednak zatrąła każdą kroplę krwi jego, iż teraz nie miał siły znieść tak pewnego i tak blizkiego rozczarowania. Przed samemi wrotami ojcowskiego domu zatrzymał się. Ogarnęła go straszliwa chęć ucieczki. Jeszcze nie było zapóźno. Po co tu przyszedł? Pojedzie lepiej do Bostonu, najbliższą pocztą napisze do Laury i zaklnie, aby mu nie mówiła. Kiedyś będzie może mógł słyszeć prawdę, ale nie teraz. Jak mógł się odważyć na to! Miał już odejść tam, gdzieby nikt nie mógł dosięgnąć go i jednym słowem zabić tego cienia nadziei, co stał się taką potrzebą jego życia, jak opjum dla ofiary, której siłę podkopał i zastępuje. Było jednak zapóźno. Laura, siedząca przy oknie z robotą, wyjrzała, i zobaczywszy, jak szedł wolnym krokiem, rzuciła się do drzwi z okrzykami zdziwienia i radości. Wszedł i oboje usiedli.

— Sądzilem, żem powinien wpaść na chwilę

i zobaczyć, jak się tu wszyscy miewacie, rzekł z bladym uśmiechem.

— Jakżem rada, żeś tak zrobił! Ojciec dziwił się właśnie dziś zrana, że chyba ty już nigdy do nas nie powrócisz.

Otarł czoło chustką.

— Sądziłem, żeś powinien wpaść i zobaczyć was...

— Tak, ja się też tak cieszę z tego.

Udała, iż nie spostrzega, że przed chwilą powiedział to samo.

— Dobrze się masz tej wiosny? zapytała.

— Tak, całkiem dobrze.

— Ojciec tak się cieszył z twego patentu, zawsze jest z ciebie dumny.

Po chwili milczenia, w ciągu której nerwowo rozglądał się po pokoju, Henryk rzekł:

— Czy tak?

— Tak, i ja również.

Nastąpiła długa cisza. Laura wzięła koszyczek z robotą, pochyliła się nad nim i zdawała się być bardzo zajęta odszukaniem tam czegoś.

Nagle Henryk rzekł szybko, spazmatycznie:

— Magdalena wyszła za męża?

Boże wielki, czyż ona nigdy nie odpowie!

— Nie... odrzekła w jakiś sposób wymijający.

Serce jego, które bić przestało, pchnęło teraz strumień krwi w każdą tętnicę. Ale Laura mówiła tak, jakby było coś gorszego, nie zaś lepszego. Czy podobna! We wszystkich myślach swoich, we wszystkich marzeniach we śnie i na jawie nigdy, przenigdy nie przypuszczałby tego.

— Czy umarła? zapytał z wolna, z trudnością, a wola jego wykuwała straszną myśl w

słowa z takim trudem, jak młot stalowy wykuwa pieniądze z obrzyneków metali.

— Nie... odpowiedziała znowu tym samym tonem złowróbnym.

— Na miłość Boga, cóż się stało! krzyknął, zrywając się.

Laura spojrzała w okno tak, aby wyminąć wzrok jego przy odpowiedzi. Odrzekła głosem ledwo dosłyszalnym:

— Był tu skandal... On ją odbiegł, a ona później, dopiero w przeszłym tygodniu, uciekła, nikt nie wie dokąd. Sądzą jednak wszyscy, że do Bostonu.

Była mniej więcej godzina druga popołudniu, gdy Henryk dowiedział się o losach Magdaleny. O czwartej powracał już do Bostonu. Wyraz jego twarzy, gdy siedział w wagonie, nie był taki, jakby, sądząc z okoliczności, można się było spodziewać. Nie był to wyraz człowieka, zdruzgotanego jakąś klęską beznadziejną, ale raczej kogoś, co chociaż dotknięty smutkiem, powziął jakieś mocne postanowienie, nie pozbawione nadziei.

Przed opuszczeniem Niewille'u, odwiedził panią Brand, która mieszkała w tym samym domu. Spotkanie ich było bardzo bolesne. Widok jego pobudził ją do gorzkiego płaczu, który przez długi czas nie pozwalał jej przyjść do słowa. Rozżalona smutkiem, prawie wyrzucała ona gorzko Henrykowi, że zamiast odbiegać ich i pozostawiać Magdaleny na pastwę Cordisowi, nie ożenił się z nią raczej. Było mu dość przykro słuchać tego rodzaju zarzutów, lecz ani myślał powiedzieć czegokolwiek na swoje usprawiedliwienie. Gotów nawet był sam ganić siebie. Nie pamiętał już teraz, jak ona sama odrzuciła go, odtrąciła, odepchnęła.

Mówił sobie, że odbiegł jej okrutnie, i pochylił głowę przed wyrzutami matki.

Pokój, w którym siedzieli, był tym samym, w którym w dzień zabawy oczekiwał on, aż Magdalena w jego obecności wykończy toaletę. Tam nad stołem wisi to samo lustro, które owego poranka odbijało obraz dziewczyny w sukni białej z czerwonymi wstążkami na szyi i rękach, i czerwone pióro kapelusza, tak strojnie wznoszące się nad niskim czołem, słowem obraz dziewczyny, nad wyraz ponętny. Może stoi gdzieś ona teraz przed zwierciadłem. Ale jaki rumieniec okrywa jej policzki? Jakim wzrokiem patrzą jej oczy? Jaki cień okropny przemknął po jej twarzy?

Po niejakiem czasie Henryk opuszczał już biedną matkę, która, zaprzestawszy swych wyrzutów, uległa zupełnie uczuciu sympatii, jakiem napełniała ją jego obecność i strata, równie wielka, jak jej własna. Był on jedynym na całym świecie, z kim mogła dzielić się współczuciem, a w jej osamotnieniu było to wielką pociechą. Nakoniec, kiedy miał odejść, żal jej wybuchnął na nowo, a on, objąwszy jej głowę, przycisnął ją do swych ramion, uspakajał z tkliwością i głaskał jej cienkie, siwe włosy, aż wreszcie wstrząsające łkania trochę ucichły. Naturalnem było, iżby on właśnie przynosił jej ulgę. Stanowiło to jego przywilej. Przyjmując smutek jej, nie zaś radość, przybierał on tem samem matkę swej ukochanej za swoją.

— Nie wyrzekajcie się jej — ja ją odnajdę, jeśli żyje.

VII.

Nieustanne, całotygodniowe poszukiwania po hotelach i pokojach umeblowanych Bostonu

uwieńczyły się w końcu pomyślnym skutkiem. Odnalazł ją. Gdy otworzyła drzwi nędznego mieszkania, jakie zajmowała i gdy zobaczyła, kto właściwie stukał do drzwi, przykry, nieładny rumieniec wstydu okrył jej twarz. Byłaby zamknęła drzwi przed nim, gdyby nie wszedł prędko do wnętrza. Powieki jej opuściły się na chwilę, a potem spotkała jego wzrok spojrzeniem niespokojnej śmiałości. Trzymając wciąż drzwi nawpół przymknięte, rzekła:

— Henryk Burr... Czego pan potrzebuje? Masy ciemnych jej włosów zwieszały się w nieładzie dokoła szyi, i nawet w tem pierwszym spojrzeniu oko jego spostrzegło jakieś zaniedbanie w jej stroju, tak odmienne od zachowania się dawniejszego. Twarz była dziwnie postarzała, skołatana i nasepiona, ale piękna jeszcze niewygasłą pięknnością cudownych oczu, jakkolwiek noce bezsenne zostawiły dokoła nich swoje ślady.

— Czego panu potrzeba? Po co pan tu przyszedł? zapytała znowu szorstkim sztywnym głosem, gdyż on, na jej widok, zanadto był wzruszony, aby mógł odpowiedzieć zaraz.

Teraz jednak odjął rękę jej od klamki, zamknął drzwi i rzekł:

— Magdaleno! jam potrzebował ciebie, potrzebowałem cię na żonę.

Jedynie bezgraniczna tkliwość jego zwilżonych oczu okupywała otwartość tych wyrazów. Najłżejszy ślad pogardy nie zarysował się na jej wargach, ale uprzedni wyraz nieczułej obojętności nie zmienił się, gdy odpowiadała tonem bezdusznym.

— Więc przyszedłeś pan tu natrzasać się ze mnie? Dużo było trudu, ale musisz pan przecie mieć na mnie jakiś odwet.

Przystąpił tuż do niej.

— Ja się nie śmieję, mówię najszczerzą prawdę. Jestem z tych, którzy mogą kochać jedną tylko kobietę, kochają stale i na zawsze. Gdyby nie pozostało po tobie nic więcej, nad pasmo twych włosów, wolałbym je raczej, niż jakąkolwiek bądź kobietę na świecie.

Teraz twarz jej zmieniła się. Patrzyła tak, jak ludzie, przed którymi się przesuwa widmo szczęścia nie dla nich, był to wzrok taki, jakim patrzeć mogłaby dusza skazana, gdyby przelotem doleciał jej widok niebieskich rozłogów, i która cieszyłaby się z tego, jakkolwiek własna jej droga musiałaby prowadzić ją do zguby.

Nagłym ruchem padła na kolana i objawszy rąbek jego szaty, przycisnęła ją do ust. Po tem, zanim zdażył ją pochwycić, odskoczyła z ręką wyciągniętą ku niemu i z dłonią odpychającą go tak, iżby nie mógł jej dotknąć. Oczy jej cudownie zwilżyły się obfitemi łzami, i rzekła:

— Dziękuję ci, Henryku. Jesteś bardzo dobry. Nie sądziłam, iżby mężczyzna mógł być tak dobry. Teraz przypominam sobie, iż zawsze byłeś bardzo dobrym dla mnie... Nie, nie, nie czyn tego przez litość dla mego wstydu! Oszczędź mi tego, o, proszę.

Ale on był silniejszy i pocałował ją. Uczynił to po raz drugi w życiu. Oczy jej zapłonęły gniewem, ale ten przemiął natychmiast; upadła na twarz z krzykiem, jakgdyby serce jej miało pęknąć, a ręce opadły jej nerwowo; była to bowiem owa nieszczęsna boleść, nie ukrywająca łez, które płynęły po zbolalej twarzy.

— O, mogłeś pan oszczędzić mi tego. Boże! czyż nie dość było jeszcze... wymówiła, łkając.

Henryk w miłosnem swem oglupieniu zranił dumę jej wstydu, ostatnią ucieczkę poszano-

wania siebie, zadał cios najokrutniejszy, sądząc właśnie, że ją uspokoi. Nastąpiło długie milczenie. Zdawało się, iż zapomniała o jego obecności. Gdy patrzyła na nią, jak siedziała zrozpaczona, upokorzona i beznadziejna przed nim, nie troszcząc się nawet o zakrycie twarzy, serce jego wezbrało tak, iż zdawało mu się, że pęknie: przepełnione było ono uczuciem tak tkliwej prawomyślności, szczytnego oddania się, jak u jakiegoś wiernego poddanego z dobrych dawnych czasów, wobec królowej, którąby był znalazł na wygnaniu, w łachmanach i nędzy. Mogli ją opuścić bogowie i ludzie, lecz była ona nazawsze jego królową, której stopy z czcią byłby całował. A jakąż przepaść była pomiędzy temi uczuciami, a ich pojmowaniem przez nią!

Nakoniec, kiedy łkania jej ucichły, Henryk rzekł spokojnie:

— Przebacz mi, nie chciałem urazić twych uczuć.

— Wszystko jedno, nie o to idzie, odrzekła, nie słuchając go i ocierając oczy ręką. Chcę, abyś pan poszedł przynajmniej i pozostawił mnie samą. Czegoż pan jeszcze potrzebujesz odemnie?

— Potrzebuję tego, czegom zawsze potrzebowałem. Potrzebuję, abyś była moją.

Spojrzała nań w tępe osłupieniu, jakgdyby istotny sens życzenia, jakie już był raz wypowiedział, dopiero teraz dosięgał jej umysłu, albo jakgdyby wrażenie wyznania pierwszego było się już zupełnie zatarte pod wpływem późniejszego wylewu.

— Tak?... Sądziłam, że pan wiesz... Mogłeś pan nie słyszeć o mnie.

— Słyszałem, wiem wszystko, zawołał, stając tuż przed nią. Przebacz mi, droga, prze-

bacz mi, żem był prawie rad, dowiedziawszy się, żeś wolna, żeś nie wyszła za męż, nie zginęła dla mnie na zawsze. Nie mogę myśleć o niczem innem, jak tylko o tem, żem ciebie odnalazł. Nie dbam o to, co się z tobą stało, byleby to tylko tyś była.

Gdy mówił w ten gorączkowy sposób, patrzyła na niego z wyrazem słabej ciekawości.

— Wierzę, że istotnie tak myślisz, rzekła, dziwnie powoli wymawiając słowa. Zawsze byłś pan człowiekiem osobliwszym.

— Myślę tak! krzyknął, kłękając przed nią, a głos jego drgał nadzieją, jaką natchnęła go trochę łagodniejsza intonacyja jej słów. Tak, tak, myślę tak!

Błady uśmiech, uwydatnił tylko smutek jej twarzy, błakający się dokoła oczu tak, jak świeca woskowa w krypcie uwydatnia jej mroki.

— Biedny chłopcze! rzekła. Obeszłam się z tobą bardzo źle. Miałam już dzisiaj skończyć ze sobą, ale zaczekam teraz, aż znużysz się swoim dla mnie urojeniem. Nie wielka będzie różnica. No, no, tylko nie całuj mnie.

VIII.

Nie nalegał, aby się ślub ich odbył zaraz, jakkolwiek pogrążona w swej głuchej obojętności, nie byłaby odrzuciła żadnej z jego strony propozycyi. Miał on nadzieję, że po niej jakimś czasie uspokoi się ona nieco i stanie się weselszą. Spodziewał się, że przed ołtarzem ujmie w swe dłonie rękę, już nie tak podobną do ręki trupa.

Wprowadzając ją, jako swoją narzeczoną, znalazł dla niej bardzo miłe mieszkanie przy dobrej rodzinie, u swoich znajomych, zaopa-

trzył ją w książki i pianino, brał ją ciągle ze sobą na miejsca rozrywek i wszelkimi sposobami, na jakie tylko mogła zdobyć się jego pomysłowość, usiłował rozerwać ją i rozweselić. Wobec tego wszystkiego nie robiła ona ani zarzutów żadnych, ani napomknień, ani też po za obrębem odpowiedzi konwencyjonalnych nie okazywała najmniejszej wdzięczności. Zdawało się jakgdyby uważała za rzecz dowiedzioną, iż on na równi z nią rozumie, że to wszystko robiło się tylko dla niego, nie zaś dla niej, iż ona obeszlaby się bez wszystkiego. Jedynym z jej strony dowodem, iż spostrzega pełną czci i poszanowania tkliwość, przezeń okazywaną, był od czasu do czasu wyraz zdziwienia, który odbierał mu wszelką pewność. Wstyd, smutek i rozpacz oblekły serce jej skorupą nieprzenikalną na wszelkie wzruszenia ożywcze. Cała jego miłość nie mogła mu dopomóc do opanowania wrażenia, iż Magdalena nie była już dlań jakąś znajomą, druhem codziennym, ale jakgdyby kimś obcym.

O ile mógł dojść prawdy, nie robiła ona nic po całych dniach; siedziała tylko, rozmyślając. Nie mógł on odkryć, iżby przynajmniej otwierała przysyłane jej książki i dzienniki, a o ile wiedział, nie robiła też użytku z pianina. Odwiedziny jego były zawsze czemś bardzo smutnym. Zadawał jej zwykle kilka pytań, które zawsze starannie układał dla obudzenia w niej zajęcia. Odpowiadała monosylabami, uśmiechając się czasem powściągliwie, następnie zaś Henryk, posiedziawszy jeszcze chwilę w milczeniu, brał kapelusz i życzył jej dobrej nocy.

Siadywała teraz zazwyczaj w postawie, w jakiej nigdy nie widywał jej dawniej—z rękami opuszczonemi na kolana, z twarzą bez żadnego wyrazu. Gdy patrzył wtedy na nią, przy-

pominając sobie o dawniejszej, pełnej ożywienia, pewności siebie i wiecznie zmieniających się kapryśków, przygnębiał go smutek tego kontrastu.

Kiedy zapytywał się jej o zdrowie, odpowiadała zawsze, iż ma się dobrze. Jakoż, istotnie tak wyglądała; smutek zwolna podkopuje podwaliny zdrowej budowy fizycznej. Magdalena zachowała wszystkie rysy twarzy, okrągłość kibici, która najpierwej przykuła do niej jego wyobraźnię za owych dni, jak się zdawało, tak już odległych.

Brał ją często ze sobą do teatru, gdyż podczas gry zdawała się ona niekiedy przez chwilę zapominać o sobie. Pewnego razu, gdy powracali do domu z jakiejś sztuki, Magdalena zwróciła uwagę na pewien jej szczegół. Była to pierwsza jej uwaga niezależna—od czasu, gdy umieścił ją w jej mieszkaniu. Sama przez się uwaga ta nie miała żadnej doniosłości, ale Henryk rozkoszował się nią, jak się rozkoszują ludzie pierwszemi wyrazami, które zdają się świadczyć o rozbudzonem na nowo zajęciu się sprawami ziemskimi przyjaciela, powracającego do zdrowia, którego dusza przez długi czas błędziła na kresach śmierci. Na śmiech zbierało się, patrząc, jak wiele rokował on sobie z tej małej uwagi, jak ją rozsnuwał w myśli, jak ją obrabiał na wszystkie strony i jak powracał do niej później w ciągu długich dni. Ale zdanie to pozostało odosobnionem, Magdalena nie zdobyła się już na inne.

Nie mniej wszakże umysł jej nie był tak całkowicie znieczulonym, jak się zdawało, ani też tak wyłącznie sobą zaprzątnięty. Z dniem każdym, z ciemnej gmatwaniny jej myśli wyruszała się coraz bardziej jedna idea — idea

dobroci i szlachetności jej kochanka. W ocenie tej nie było najmniejszego błysku wdzięczności. Siebie nie brała tu najzupełniej w rachubę, jak ktoś taki, w kim niedola byłaby na czas pewien stłumiła wszelkie zajmowanie się osobą własną. Osobiste jej szczęście należało do przeszłości. Jej poczucie miłości jego i szlachetności było tak bezinteresowne, jakgdyby jakaś osoba inna była ich przedmiotem. Uwielbienie jej było z rodzaju tych, jakie się uczuwa dla bohatera historii albo powieści.

Często, kiedy wszystko w niej zdawało się głuchnąć, milknąć i zamierać, uczuwała ona, że krzyk byłby jej sprawił ulgę. W takich chwilach, aby dopomódz sobie do wydania języku, gdyż lzy nie łatwo już jej płynęły, siadywała do fortepianu, którego jedynie w takich razach się dotykała, i wygrywała parę prostych piosenek, wiążących się z jej życiem dawniejszem w domu. Niekiedy, pograwszy i pokrzcyczawszy trochę, popadała w jakieś słodko posępne rojenia o tem, jakby szczęśliwą być mogła, gdyby odplaciła Henrykowi wzajemnością za owych dni dawnych. Dziwiła się teraz i nie umiała sobie wytłumaczyć, dla czego tak nie było. Teraz wydawało się to jej czemś niezwykłym. Ale przez cały ten czas myślała o tem jedynie, jako o czemś takim, co mogłoby być być, jak ktoś, co, będąc śmiertelnie chorym, myśli, co też mógłby być zrobić, gdyby miał zdrowie, jak myśli człowiek, skazany na śmierć, co byłby robił, gdyby odzyskał wolność; albo jak duch odcielesniony mógłby myśleć, co czyniłby, gdyby mu powrócono życie. Wiecznie przytomna jej świadomość hańby w ciągu ubiegłych paru miesięcy wzniosła jakiś mur nieprzebyty pomiędzy jej życiem przeszłym a obecnym stanem istnienia. Nie

myślała już nigdy o sobie w czasie terażniejszym, a tembardziej w czasie przyszłym.

Henryk nie pocałował jej od chwili owego pocałunku podczas ich spotkania, który nabawił ją tak strasznych napadów płaczu. Ale pewnego wieczora, kiedy była bardziej milczącą i nieczułą, niż zwykle i mniej jeszcze odpowiadała na jego wysiłki zajęcia jej, wstawszy, aby się pożegnać, pociągnął on ją na chwilę ku sobie i przycisnął wargi swe do jej ust, jakgdyby zmuszony do dania jakiegoś upustu swoim uczuciom, którym tak okrutnie wszelki zagradzano wylew. Wyszedł pośpiesznie z pokoju, lecz Magdalena stała dalej nieruchomo, w postawie takiej, jakgdyby uderzyło ją nagłe odkrycie. Strasznie wyglądały wtedy rozszerzone jej oczy. Oblicze aż po włosy okryło się ciemnym rumieńcem. Była to purpura jaknajzupełniej niepodobna do owej barwy błęgiego wstydu, jaką policzki zwiastują zorzę miłości w szczęśliwych sercach. Rzuciła się na sofę, ukrywając płonąca twarz w poduszkach, a cała jej postać drgała pod wpływem łkania bez płaczu.

Miłość na chwilę jakgdyby zerwała ochronną opaskę obojętności z jej bolesnego uczucia wstydu, i jakgdyby poraz pierwszy Magdalena zdobyła całkowitą świadomość rozpaczliwego swego położenia.

Każda z dziewcząt, uważająca swą czystość nieskazitelną za zwykły dar dla tego, kogo pokochała, może wyobrazić sobie, jakimi były uczucia Magdaleny, gdy zrodziła się w jej sercu miłość z królewską swą żądzą obdarowywania. Jakimże kwiatem niewinności dziewczęcej nagrodziłaby ona swego kochanka! Ale kwiaty te zwiędły, zapach ich uleciał. Jakimże wieńcem niezwykłym byłaby go uwieńczy-

ła! Ale godła dziewictwa swego oddała ona dla przyozdobienia oszusta. Miłość więc przychodziła do niej teraz nie tak, jak do innych, lecz zaostrzając tylko szpony wyrzutów i niecałe płomienie wstydu.

Na jedną tylko rzecz otwarły się jej oczy od pierwszej chwili jej nowej świadomości, jedno tylko było dla niej pewnem, to mianowicie, że skoro go kocha, nie powinna dotrzymać mu słowa, co do zamążpójścia. W uprzednim stanie jej martwej obojętności na wszystko nie obchodziło jej, czy postąpi tak lub inaczej. Nie troszcząc się o to, co się z nią stanie, doznawała ona tylko uczucia, iż ze względu na jego dobroć, powinien on być znaleźć zadosyćuczynienie w małżeństwie z nią. Ale miłość jej nie mogła znieść myśli podarowania mu tego, czem byłaby go obdarzyła obojętność. Bezwartościowość podarku, nie obchodząca jej pierwiej, teraz uczyniła daninę tę niemożliwą. Kiedy dawniej obojętnie myślała o poddaniu się uczuciom, przez siebie nie podzielanym, to teraz, kiedy je podzielała, myśl szczęśliwości wśród nich wydawała się jej czemś występniem i hańbiącym. Zbieranie słodczy szczęścia z własnego poniżenia byłoby nowym upadkiem, w porównaniu z którym dzisiaj mogłaby siebie prawie szanować. Świadomość tego, iż mogła doznawać rozkoszy w owym pocałunku, kazała jej myśleć o sobie, jako o istocie bezczelnej.

Serce jej bolało bezsilną troską o niego, widziała bowiem, iż z rąk jej będzie musiał teraz doznać zawodu. Usiłowała, jakkolwiek na próżno, wywołać w sobie przeświadczenie, iż ostatecznie mogłaby pójść za niego, mogłaby zadać ostatni gwałt swojej naturze i przyjąć hańbiące szczęście dla niego.

Pewnego rana miała wielkie zmartwienie. Spała niezwykle dobrze, sny jej były pogodne i przyjemne, nie mające na sobie ani cienia jej myśli dziennych, jakgdyby jakieś widziadła, przeznaczone dla uspiętego mózgu kobiety szczęśliwej, nawiedziły ją przez omyłkę. Chwilę leżała nawpół uspiąca jeszcze, nawpół czuwająca, rozkoszując się miękkim ciepłem łóżkiem i nawpół tylko wynurzona z atmosfery marzeń sennych. Gdy w końcu otworzyła oczy, poranne wczesne słońce wstawało właśnie ze swojej kąpieli oceanicznej, napełniając pokój blaskami; ptaki zaczynały śpiewać. Krzak bzu przed oknem poruszał się pod tchnieniem wietrzyka, cienie zaś jego gałązek, chwiejąc się tu i owdzie, znaczyły siatkę promienistą na ścianie.

Duch radosnego poranka porwał ją z sobą, i, nie myśląc o niczem, wyskoczyła z łóżka i stanęła przy oknie z uśmiechem żywej rozkoszy na obliczu. Zapomniała zupełnie o hańbie swojej i smutku. Przez chwilę były one tak dalece nieobecnymi w jej umyśle, jakgdyby nie istniały nigdy i przez chwilę daleko sięgający wzrok słońca nie spoczywał nigdy na szczęśliwszej i bardziej niewinnej twarzyczce. Nagle, pamięć dotknęła swym lodowatym palcem jej serca i powstrzymała radosne jego tętno. Uśmiech wesóły zniknął, jak świeca, zgaszona w Acheronie, i Magdalena upadła, jak długa na podłogę, z ciężkim łkaniem i jękiem.

— Boże! Boże! Boże!

Tegoż dnia i przez wiele następnych myślała ona raz poraz o tej szczęśliwej chwilce, kiedy pamięć nie zażądała była swojej ofiary. Było to poraz pierwszy od tak dawna, a było tak rozkoszne, jak kropla wody w katuszach. Jakiemże niebem musi być życie tych, którzy ma-

ją wiele chwil podobnych. Czyż możliwem jest, iż kiedyś, dawno, dawno, jej życie również było takim — iż rankami, kiedy budziła się ona, nie straszło jej przypomnienie? Czyż istniał kiedykolwiek czas, gdy mary wstydu i wyrzutów nie zwieszały się w czasie jej snu nad łóżkiem, czyhając na chwilę jej przebudzenia, aby na nowo pogrążyć szpony swe w jej sercu? Jakże pełną była ona wdzięczności dla Boga i dla pięknego życia tego świata w ciągu owej, podarowanej jej chwili szczęśliwości. Niewątpliwie, możność doznawania chwil takich świadczyła, iż nie była ona złą. Wskazywało to, że serce jej było czyste, że tylko pamięć jej, była skażoną. Napróżno odganiała ona i zmywała wszelką skazę z głębin swego ducha; napróżno była dobrą: przez cały czas pamięć jej, jakby rów jakiś z odległego bagniska, napełniał brzydkim swym potokiem wspomnień jej serce, zatruwając każdą chwilę życia.

Przed laty w czasie jednej z religijnych uroczystości newillskich, przechodziła ona zwykłą kolej dziewczęcego nawracania się na wiarę. Teraz, zaiste, był właśnie czas, kiedy niebieskie nagrody, ku jakim religija zwraca myśli zasmuconych, mogłyby niewątpliwie być dla niej źródłem pewnej ulgi. Ale jakaś okrutna jasność widzenia rzeczy, jak przynajmniej jej się zdawało, wszystkim rozmyślaniom na ten temat nadawała zabarwienie rozpaczne. Od chwili, gdy cień padł na jej życie, z każdym dniem uczucie wstydu i smutku stawało się coraz bardziej nieznośnem. W miarę tego, jak wzrastało obrzydzenie jej wobec grzechu, wzma gała się też męczarnia z jego powodu. Było to drzewo trujące, które lzy jej zraszały, pozwalając dalej i głębiej zapuszczać korzenie i

coraz szerzej wysyłać gałęzie, okrywające życie jej coraz gęstszym i coraz zgubniejszym cieniem. Skoro więc na ziemi oczyszczenie się przez skruchę tylko pogłębia udrczenie ducha z powodu przeszłości, to jakże miałyby być inaczej w niebie, przez całą wieczność? Ludźmi czystego serca, widzącymi Boga, myślała nieszczęśliwa dziewczyna — muszą być jedynie ci, którzy zawsze byli takimi, gdyż tacy, którzy stali się czystymi przez skruchę i łzy, z dniem każdym coraz jaśniej widzą swoją nieczystość.

Przerażenie jej na myśl o takim niebie, gdzie przez całą wieczność zupełne oczyszczenie się z grzechu nie pozwoli unrzeć jej wstydomi, doprowadziło ją do niewiary i zwróciło serce jej w kierunku owego drugiego, głębokiego instynktu ludzkości, który spostrzega w zgonie obietnicę wiecznego snu, spokoju i zapomnienia. W ciągu tego czasu myślała wiele o biednym George'u Bayley'u i o przemówieniu jego w kościele w przeddzień samobójstwa. Dzięki jakiemuś mistycznemu powinowactwu smutnych swych losów z jego udziałem, czuła ona, iż bliższą jest George'a, niżli wskutek miłości swojej była teraz albo kiedykolwiek względem Henryka. Przypominała sobie, jak siedząc owego wieczora, słuchała mowy George'a, współczując mu niewątpliwie, ale przez pół tylko rozumiejąc jej znaczenie i nie mając najmniejszego przeczucia, że na niej samej powtórzą się losy jego tak dokładnie. Tak, powtórzą się, być może, Bogu tylko wiadomo, aż do końca. Nie mogła przecież znosić tego zawsze. Rozumiała teraz, o, jakże rozumiał jej tęsknotę za wodami Lety, mającemi dawać zapomnienie. Często widywała bladą twarz jego w marzeniach sennych, i uśmiechniętą tak,

jak był on uśmiechnięty, leżąc w trumnie—
tak, jak gdyby obmył się już w tych wodach
upragnionych.

IX.

Henryk nie wspominał o małżeństwie od czasu pierwszego spotkania. Odkładał to z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, żywiąc nadzieję, iż umysł jej się rozjaśni. Ale pod tym względem rzeczywistość ciężko zawiodła jego oczekiwania. Nie mógł ukryć przed sobą, że Magdalena zamiast stawać się więcej ożywną, popadała w coraz bardziej upartą melancholiję. Codziennie zaznaczał w jej twarzy zmianę pewną, jakgdyby stopniowa skamieniałość okrywała jej oblicze. Zdawało się, że wobec jego wzroku, wpadała ona w jakieś nieubłagane odrętwienie, z którego nie mogły jej podźwignąć wszystkie jego wysiłki.

Bywały chwile, kiedy doznawał mrozącego przedsmaku rozczarowania, którego możliwości nie chciał jeszcze uznać na stałe. Wyznawał przed sobą, że zadanie przywrócenia życia komuś, czyją krew zmroził chłód rozpaczy, było trudniejszym, niż mu się zdawało. Było w tem może coś zbyt przykrego nawet dla jego miłości. Utrata ufności zniechęcała go podwójnie, nietylko ze względu na niego, ale i na nią. Nietylko zapytywał siebie o to, czem będzie jego życie w razie niepowodzenia, ale i o to, co się stanie z jej życiem? Pewnego dnia, ulegając takiemu zwątpieniu i czując, że nie podoła celowi, że sprawy z każdym dniem pogarszały się, nie zaś poprawiały, oraz że potrzebuje jakiejś pomocy, zapytał Magdaleny, czy nie lepiej byłoby napisać do jej matki, aby przybyła do Bostonu i aby zamieszkała razem.

— Nie! zawołała szybko, głosem drżącym, patrząc na niego wystraszona.

Pośpieszył z uspokojeniem jej i rzekł, iż nie myślał o tem poważnie; jednakże w ciągu wieczora zauważył, iż rzucała nań płochliwe spojrzenia nieufności i podejrzeń, myśląc, że knuje przeciwko niej jakiś spisek. Wszak uciekła z domu dla tego, iż nie mogła znosić wzroku matki.

Z biegiem czasu Henryk stał się prawie równie zamyślonym i ponurym, jak ona, a straszne ich spotkania były teraz okrutniejszemi, niż kiedykolwiek, gdyż Magdalena milczała już prawie nie więcej od swego kochanka. Stały a wzrastający jego niepokój, obok obowiązków odpowiedzialnego stanowiska, począł odbijać się na jego zdrowiu. Właściciel fabryki, której on był nadzorcą, przywoławszy go do swego biura, rzekł mu, iż pracuje za nadto, i że powinien trochę odpocząć; ale Henryk się od tego uchylił. Rychło potem pewien znojomy mu lekarz zatrzymał go na ulicy, usiłując wy badać stan jego zdrowia. Henryk przyznał się, że nie sypia po nocach. Doktor zalecił odpoczynek, kiedy zaś to okazało się niemożliwym, zmusił go do przyjęcia pudełka proszków usypiających, oraz do obietnicy, że ich sprobuje.

Cała ta gadanina o jego zdrowiu, jak również jego własna świadomość fizycznego stanu nasunęła mu myśl o tem, jak rozpaczliwym byłoby położenie Magdaleny w razie jego choroby lub śmierci.

Tegoż dnia przyszedł do wniosku, iż nie ma co dłużej zwlekać z małżeństwem. Zdawało się rzeczą prawie brutalną nalegać na nią o to w obecnym jej stanie umysłu, a jednak jasnym też było, iż o przedłużeniu takiego po-

łożenia rzeczy nie może być mowy. Henryk mieszkał w dzielnicy podmiejskiej i powracał zwykle do domu koleją. Gdy wsiadł do wagonu owego wieczoru, czekając, aż pociąg ruszy, umieściło się po za nim jakichś dwóch panów, rozmawiających o nowej książce z zakresu fizjologii ducha, mówiącej o odkryciach najnowszych. Prowadzili o tem rozmowę ożywioną, aż do chwili, gdy Henryk wysiadł z wagonu. Nie mógłby jednak powtórzyć ani słowa z tego, co mówili. Zaprzątnięty własnymi myślami, posiadał niejasną jedynie świadomość rzeczy słyszanych. Ucho jego przyjmowało ich słowa, ale słuchało, jakgdyby nie słysząc.

Po herbacie, o zmroku, odwiedził, jak zwykle, Magdalene. Po paru wyrazach zwykłych, rzekł pogodnie:

— Magdaleno, przypominasz sobie, że przed paru tygodniami obiecałaś wyjść za mnie za mąż. Nie nagliłem cię, ale teraz brak mi ciebie bardzo. Niema żadnego pożytku z dłuższego czekania, moja droga. A jesteś mi potrzebna bardzo.

Siedziała na niskim krzeselku z rękami splecionymi na kolanach, a kiedy mówił, głowa jej opadła tak nisko na piersi, iż nie mógł dojrzeć wyrazu jej twarzy. Milczał przez chwilę, czekając na odpowiedź, ale Magdalena milczała również.

— Wiem, żeś obietnicę zrobiła tylko dla mnie, zaczął znowu. Wiem, że będzie to niczem dla ciebie, a jednak nie nalegałbym, gdybym nie sądził, że uczynię cię przez to szczęśliwszą. Opuszczę na jakiś czas obowiązki, będziemy podróżowali i rozejrzemy się trochę po świecie.

Ona nie odpowiadała jeszcze, ale dla Hen-

ryka było już niejakiem ukojeniem to, że się zachowywała spokojnie.

— Czy chcesz, żebyśmy się pobrali za dni parę? zapytał.

Podniosła z wolna głowę i wpatrzyła się w niego uparcie.

— Masz słusność, rzekła. Niema pożytku z dłuższego trwania takiego stanu rzeczy.

— Więc przystajesz, zawołał z zupełną prawie otuchą, na widok jej spokojnego oblicza i pozornej zgody.

— Nie wymagaj odemnie odpowiedzi teraz, rzekła po chwili, w ciągu której patrzyła nań z dziwnie nieruchomym wyrazem twarzy. Zaczekaj jeszcze do jutra. Jutro będziesz miał odpowiedź. Masz słusność zupełną. Sama tak myślałam. Niema sensu trwać w ten sposób dłużej.

Przemówił do niej jeszcze parokrotnie potem, ale ona wpatrzywszy się przez okno w ciemniejące niebiosy, zdawała się go nie słyszeć. Powstał więc, aby odejść i kiedy już był w przedpokoju, Magdalena zawołała:

— Chodź tu jeszcze na chwilkę, Henryku.

Zbliżył się do niej znowu.

— Chcę, abys mię pocałował, rzekła.

Stała na środku pokoju. Wysmukła jej postać w czarnym stroju oblaną była czarodziej-skim blaskiem wschodzącego księżyca, którego światło nie było ani bledsze od jej policzków, ani smutniejsze od jej nieruchomych oczu. Wargi jej były miękkie, łagodne i jakby zwilżone. Henryk nigdy nie sądził, iżby pocałunek mógł być tak słodkim, a jednak zdawało mu się, iż radby był płakać. Sam nie wiedział, dlaczego.

Przyszedłszy do domu znajdował się w stanie strasznego rozstroju nerwowego. Na-

przekór wszystkiemu temu, co było przygnębiającem i bolesnem w całym tem zajściu, myślał, że Magdalena będzie jego żoną za dni parę, przyprawiała go o jakieś podniecenie gorączkowe, podniecenie tembardziej wzruszające, iż pierwiastki jego były tak liczne, oraz że tak mało wspólności miało ono z rozweseleniem i lekkością ducha szczęśliwych kochanków. Zazwyczaj jeden z proszków doktora, usiłował czytać jakąś suchą książkę o elektryczności, chciał napisać jakiś list handlowy, wypalił cygaro, aż wreszcie udał się na spoczynek.

Zdawało mu się, iż przez cały dzień następnym poruszał się w stanie jakiegoś rozmarzenia i oszołomienia, aż do chwili, gdy po herbacie zjawił się w mieszkaniu Magdaleny, i kiedy mu ona otworzyła drzwi swoje. Zdumienie, jakiego wówczas doznał byłoby mogło obudzić go nawet wtedy, gdyby spał istotnie. Na razie pomyślał, iż Magdalena dostała objędu, albo że się upiła winem dla podniesienia ducha; na obu jej policzkach bowiem igrał jakiś rumieniec podniecenia, a oczy były pełne ożywienia i blasku. W jednej ręce trzymała zmięty jakiś mały dziennik naukowy, w którym Henryk poznał jedno z czasopism, jakie jej posyłał. Drugą ręką, zamiast uścisnąć podaną sobie dłoń jego, Magdalena porwała go za ramię i prawie wciągnęła we drzwi.

— Henryku, czy pamiętasz, co George Bayley mówił owego wieczora na nabożeństwie o strumieniu Lety, w którym dusze pogrążają się i zapominają o przeszłości?

— Pamiętam trochę.

— Istnieje taki strumień! Nie było to bajką, odkryto go znowu, wykrzyknęła.

— Chodź i usiądź tutaj, moja droga. Nie wzruszaj się bardzo, pomówimy spokojnie, od-

powiedział Henryk z niezmiernie przykrem wysiłkiem zachowania równowagi głosu, gdyż nie było dla niego wątpliwości, że jego ukochana dotknięta została obłędem.

— Spokojnie! Jakże ty możesz przypuszczać, że jestem w stanie mówić spokojnie, zawołała głosem podnieconym, zdejmując w rozdrażnieniu nerwowem rękę, którą położyła była na jego ramieniu. Henryku, posłuchaj, mam cię o coś zapytać. Przypuśćmy, że ktoś popełnił grzech jaki, że bardzo się z tego smuci, i że w końcu zapomina o wszystkim, zapomina zupełnie; jak sądzisz czy uczyniłoby go to znowu dobrym? Jak sądzisz? powiedz.

— Z pewnością, lecz niema potrzeby, iżby zapominał o tem, skoro żałuje.

— Ale przypuszczając, że oprócz tego zapomina?

— Tak, z pewnością, byłoby to tak, jakgdyby rzecz nigdy się nie stała.

— Henryku, rzekła, a głos jej zniżył się do jakiegoś szeptu uwielbienia, podczas gdy w oczach podniecenie mieszało się z zachwytem—coby też było, gdybym ja zapomniała o tem, zapomniała zupełnie o wszystkim, zupełnie, tak, jakgdyby tego nigdy nie było?

Patrzył na nią osłupionym wzrokiem. Istotnie była nieprzytomną. Smutek pomieszał jej zmysły. Wyraz jego twarzy zdawał się przywoływać ją do przytomności. Jakoż rzekła:

— Nie rozumiesz. To naturalne, sądzisz, żem zwaryjowała. Masz, weź to, odejdz gdziekolwiek i przeczytaj. Nie czytaj tutaj, nie mogłabym patrzeć na to. Idź, co żywo, przeczytaj i powracaj.

Wetknęła mu dziennik w rękę i prawie wypchnęła go za drzwi. Ale Henryk nie wyszedł po za przedpokój. Nie mógł myśleć o

pozostawieniu jej w takim stanie. Nagle przyszło mu na myśl zajrzeć do czasopisma. Otworzył je przy świetle lampy przedpokojowej, a wzrok jego padł na wyrazy, stanowiące nagłówek artykułu: „Ekstyrpacja procesów myślowych. Nowy wynalazek.”

Autor zaczynał od jasnego zdania sprawy z postępów fizjologii i psychologii nowożytnej, z odkryć dotyczących fizycznej podstawy umysłowości, dzięki którym stwierdzono, iż z pomiędzy milionów ciałek i włókien szarej istoty mózgu niektóre przechowują pamięć pewnych czuć i wyobrażeń, bezpośrednio z niemi zespolonych, zaś wyobrażenia i czucia klas innych przechowane są przez inne grupy ciałek. Te ciała istoty szarej, te niezliczone a tajemnicze hieroglify stanowią właśnie pamięć wydarzeń życiowych, tak, iż jeśli którekolwiek z włókien albo ich grup ulegnie zburzeniu, to i wspomnienia pewne albo kategorie wspomnień znikną również, nie dotykając innych wspomnień, wcielonych we włóknach innych. Z pomiędzy wielu naukowych a popularnych dowodów przytoczonych tam faktów, wspomniano o owym pospolicie znanym, że choroba lub uszkodzenie niektórych części mózgu sprowadza w następstwie utratę pewnych określonych kategorii wspomnień i wiadomości, pozostawiając inne nieuszkodzonymi. Artykuł mówił dalej o tym fakcie, że jednym ze znanych w medycynie skutków stosu galwanicznego jest burzenie i rozpuszczanie schorowanych tkanek z pozostawieniem tkanek zdrowych w stanie pożądanym. Gdyby się przeto miało osobnika, który, wskutek szczególnie częstego oddawania się pewnym myślom, byłby wprawiał w stan chorobliwy włókna, będące fizycznym ich siedliskiem, to

właśnie na wypadek taki, dr. Gustaw Heidenhoff wynalazł sposób stosowania baterii elektrycznej tak, że niszczył schorowane ciała, a w ten sposób unicestwiał całą kategorię chorobliwych myśli, tam tkwiących, nie pozostawiając już możliwości przypomnienia, oraz bynajmniej nie szkodząc innym częściom mózgu, albo innym kategoriom wyobrażeń! Doktor przyjmował pacjentów we wtorki i czwartki w mieszkaniu swoim przy ulicy ** pod numerem 79.

Magdalena nie była obłąkana, myślał Henryk, stojąc pod lampą przedpokoju po przeczytaniu artykułu, ale doktor Heidenhoff pomięszanie ma z pewnością. Nigdy nie uprzytomnił sobie tak wyraźnie całej nędzy jej położenia jak wtedy, gdy się zastanowił, że cała ta kupa absurdów wydawała się jej czemś istotnie wiarogodnem. Przejęty żywym współczuciem i szczerze zaniepokojony tem, w jaki sposób poradzi sobie z jej podnieceniem, wysłiznął się z mieszkania i z godzinę chodził po mieście.

Powróciwszy, zastukał znowu do drzwi jej bawialni.

— Czytałeś pan to, zapytała z żywością, gdy tylko się ukazał.

Tak, czytałem, nigdybym nie sądził, że posęlam pani takie brednie. Ten człowiek musi być albo zbiegłym waryjatem, albo też próbuje naciągać ludzi. Jestto stek nedorzeczości.

Mówił szorstko z gniewem prawie, gdyż ogarniał go przestрах na myśl, iż mogłaby ona dać się uwieść temu dzikiemu i pozbawionemu podstaw urojeniu; ale, mówiąc, nie patrzył na nią. Nie mógłby znieść widoku wrażenia, jakie wyrażały jego słowa.

To nie jest absurd, krzyknęła ona, chwytając

jąc konwulsyjnie jego ramię obydwoma rękami tak, że aż zatrzęsała nim i patrząc na niego dziko, wzrokiem płonąącym, gorączkowym. Jestto rzecz najzrozsądniejsza w świecie. Musi to być prawda. Nie może być nieporozumienia. Pan Bóg nie dałby mi doznać takiego zawodu, nie jest on tak okrutnym. Nie mów pan nic innego.

Znajdowała się w stanie takiego podniecenia, iż Henryk znajdował, iż musi być bardzo oględnym.

Ależ Magdalono, zgodzisz się chyba, że jeśli on nie jest największym odkrywcą na świecie, musi być niebezpiecznym kuglarzem. Sposób jego mógłby cię zabić albo uczynić obłąkaną. Musi to być bardzo niebezpieczne.

Gdybym wiedziała, że jest sto szans zabicia mnie przeciwko jednej powodzenia, to czyż sądzisz, że wahałabym się choć chwilę.

Największe ustępstwo, jakie na niej zdobył było przyzwolenie, iż naprzód on sam odwiedzi owego doktora Heidenhoffa, dowie się coś o nim i wybada go.

X.

Nazajutrz był już pod numerem 79 przy ulicy * *. Widać tam było skromną tabliczkę, z wypisanem na niej nazwiskiem, „Doktor Gustaw Heidenhoff.” Kiedy oznajmił, iż pragnie widzieć doktora, wpuszczono go do małej poczekalni, której ściany okryte były rysunkami mózgu i układu nerwowego; niebawem też wysoki, na uczonego wyglądający mężczyzna, o czysto ogolonej twarzy, szpakowatych włosach i bardzo rozumnych niebieskich oczach, głęboko osadzonych pod niezmiernie krzaczastymi, szaremi brwiami, wszedł do pokoju i przedstawił się jako doktor Heidenhoff. Hen-

ryk, który nie mógł nie uledeć przychylnemu
wrażeniu tej postaci zaczął rozmowę, mówiąc,
iż pragnąłby zasięgnąć pewnych wiadomości
co do sposobu wyrywania myśli, a to ku po-
żytkowi jednego ze swoich przyjaciół, który
miał zamiar tego spróbować. Doktor, mówią-
cy po angielsku z niezwykłą dokładnością, nie-
mniej jednak z lekkim akcentem niemieckim,
oświadczył się z gotowością dawania mu wszel-
kich wskazówek i odpowiadał na wszystkie
jego pytania bardzo, jak się zdawało, szcze-
rze, ilustrując objaśnienia swe przy pomocy
rysunków, okrywających ściany pokoju. Za-
prowadził go później do dalszej komnaty, po-
kazywał mu swe bateryje i tłumaczył, iż spo-
sób jego nie polega bynajmniej na odkryciu
jakichś nowych, ogólnych praw albo faktów
fizjologicznych, ale wyłącznie na pewnym spo-
sobie stosowania prądu galwanicznego; mówił
przy tem wiele o dodatnich i ujemnych biegu-
nach, o ujemnych i dodatnich prądach, oporze,
nateżeniu, reakcyjach, fluktuacyjach, oraz in-
nych terminach z zakresu galwanoterapeutyki.
Doktor otwarcie przyznawał, że bynajmniej
nie zanosił się na to, iżby miał dojść kiedy
do wielkich pieniędzy albo rozgłosu dzięki
swemu odkryciu. Obiecywał on zbyt wiele, a
ludzie wskutek tego sądzili, iż musi w tem
być kuglarstwo; na dowód zaś tego przyta-
czał, że oto od pięciu lat już praktykuje
sвій sposób wyrywania myśli, a dotąd nie do-
stąpił ani wielkiej sławy, ani znacznej liczby
pacjentów. Ale dodał przytem, ma on do-
stateczną pomoc w innej gałęzi praktyki le-
karskiej i dopóki posiada dostateczną liczbę
chorych do swoich eksperymentów, które pra-
gnął doskonalic, czuje się zupełnie zadowolony.

Z wielkiem zajęciem słuchał opowiadania Henryka o przygodzie Magdaleny. Powodzenie galwanizmu w sprawie usunięcia natrętnych wspomnień zależało, jak mówił, od tego, czy oddawała się im ona aż do wprowadzenia w stan chorobliwy włókien mózgu. To, co podług pojęć przyjętych, lub w znaczeniu moralnem, było rzeczą chorobliwą, niekoniecznie jeszcze musiało być chorobą w materyjalnem znaczeniu; to też w każdym wypadku danym jedynie tylko doświadczenie mogło rozstrzygać, czy oba stany chorobne spotkały się ze sobą. W każdym razie, zapewniał on Henryka jaknajbardziej stanowczo, że pacjent nie dozna żadnej krzywdy bez względu na to, czy operacja uda się, czy też nie.

Co za szkoda młodzieńcze, mówił on z przebłyskiem uniesienia, żeś nie przyszedł do mnie o jakie dwadzieścia lat później. Wówczas mógłbym zapewnić przyjaciółce twej jak najzupełniejsze wyrwanie wszelkich dokuczliwych wspomnień, jakie tylko usunąćby chciała bez względu na to, czy byłyby one chorobliwemi, czy też zdrowemi; skoro bowiem stwierdzony został wielki fakt istnienia fizycznej podstawy umysłowości, sędzę, że jest już tylko sprawą czasu tak ściśle umiejscowienie przez naukę wszelkich dziedzin myśli i opanowanie wszelkich praw myślenia, iżby bądź przez galwanizm, bądź jakim sposobem lepszym, psychiatra mógł wyrwać z pamięci jakieś wspomnienia dane, z taką łatwością, z jaką dentysta wyjmuje zęby i o tyleż stanowczo byleby tylko zapobiegać późniejszym ciosom tego samego rodzaju. Pytanie lady Mackbeth: „Czy nie możesz poradzić schorowanej duszy, wydrzeć z pamięci zakorzeniony w niej smutek, zgładzić niepokoje wyrte w mózgu?”

kłopotliwem było dla lekarza wieku XVI, ale w XX wieku, tak, a może w XIX, będzie on mógł odpowiedzieć na nie twierdząco.

— Czy sposób ten jest bolesny.

— Bynajmniej, drogi panie. Pacjenci opisywali mi wielokrotnie swoje wrażenia, a świadectwa ich są jednoznaczne. Gdy się zamyka strumień, wówczas następuje pewien, jak gdyby szmer w uszach, wrażenie ciepła w miejscu zetknięcia się drutu z czaszką, oraz jak gdyby uczucie jakiegoś ruchu, zdrażającego przez mózg, wpadającego z jednej strony i oddalającego się z drugiej. Widzi się również iskry ogniste przy zamkniętych powiekach, czuje się nieprzyjemny smak w ustach i doznaje się jakiegoś zapachu; oto wszystko.

— Ale wrażenia duchowe, rzekł Henryk, sądzę, iż muszą być bardzo osobliwe, uczucie zapomnienia czegoś na przekór samemu sobie, gdyż jak przypuszczam, umysł pacjenta zatrzymuje się na tych właśnie myślach, których wyrwanie jest zamiarem operatora.

— Osobliwe? o, bynajmniej, odpowiedział doktor. Codzienne doświadczenie nasze daje nam mnóstwo przykładów podobnego stanu. Z opowiadania pacjentów wnoszę, iż nie różni się ono od tego, jakiego doznajemy wówczas, gdy się zasypia, myśląc o czemś. Wiesz pan, iż spostrzegamy wówczas, żeśmy pogubili jakieś uprzednie ogniwa myśli; a gdy przypominamy na nowo o tem, co było, zapominamy przez ten czas ogniwa późniejsze, tracimy wątek i oddajemy się jakiemuś błogiemu ogłupieniu, które z kolei samo pogrąża się we śnie. Nazajutrz możemy albo i nie możemy przypomnieć, o co chodziło. Jediną różnicą tutaj jest to, iż po głębokim śnie, jaki zawsze opamiętuje po mojej operacji, nie przypomina się

już sobie danej rzeczy nigdy—rozumie się, jeśli operacja będzie pomyślna. Zdaje mi się, iż nie więcej odbiega to od naszej codziennej praktyki życia duchowego, jak jakaś poobiednia drzemka.

— Ale następstwo późniejsze? nalegał Henryk, pacjenci muszą wiedzieć niewątpliwie, że o czymś zapomnieli, nawet wówczas gdy nie wiedzą o czym. Muszą czuć, że coś wyszło im z umysłu. Sądziłbym, że uczucia takie pogrążą ich w stan przykrego oszołomienia.

— Zdaje się, iż jest to uczucie lekkiego pomieszania, rzekł doktor; lecz nie jest ono przykrem, nie bardziej dokuczliwe to, jak np. chęć przypomnienia, co się nam śniło — gdy zapomnieliśmy o treści snu. Naturalnie, że pacjent znajduje później, że strzępy i skrawki myśli, jak również i faktów w jego stosunkach zewnętrznych, związanych w jakikolwiek sposób z myślą ekstyrpowaną, są dla niego czemś niewytłómaczonym. Co do tego, to uczucia temu towarzyszące są, jak przypuszczam takie, jak uczucia człowieka, który np. upiwszy się albo podległszy somnambulizmowi, szuka później wytłómaczenia rzeczy, które uczynił albo powiedział w stanie nieświadomości. Bezpośrednim następstwem snu, jakem już zaznaczył, jest wielka senność pacjenta i pragnienie zaśnięcia przedewszystkiem.

— Doktorze, kiedy mówisz, wszystko to wydaje mi się rozsądnem, ale wybaczysz, gdy ci powiem, że jak tylko umilkiesz, cała ta sprawa przedstawia mi się jako niedorzeczność tak wielka, iż muszę się szczypać aby przekonać się, że nie marzę we śnie.

Doktor uśmiechnął się.

— Tak, odpowiedział, jam tak dawno oswo-

ił się już z tym środkiem, że istotnie nie wyobrażam sobie, co w nim jest dziwnego albo tajemniczego. Dla oczu filozofa niema nic dziwnego, albo też, inaczej powiedzieć możemy, że wszystko jest dziwnem zarówno. Najpospolitszy albo t. zw. najprostszy fakt przyrody jest o tyleż cudownym i niezrozumiałym, jak głębie jakiegoś najbardziej niepospolitego i uderzającego zjawiska. Wybaczysz mi pan, gdy mu powiem, że tylko ludziom nienaukowym zdawać się może inaczej. Ale w istocie, drogi panie, ten mój sposób wrywania myśli był tylko najbardziej oczywistym następstwem odkrycia, iż rozmaite kategorie czucia i wyobrażeń umiejscowione są w mózgu, oraz, że odpowiadają im stale pewne dane grupy ciałek i włókien istoty szarej. Z chwilą, gdy to poznano, sprawa wrywania danych grup myśli stała się jedynie sprawą pokonania pewnych trudności mechanicznych, stała się jedynie błahem zagadnieniem chirurgii, nie bardziej zawilem, niż te, jakie już rozwiązali koledzy moi w litotomii np. albo w litotrytyce.

Przypuszczam, że sprawa staje się tu cokolwiek dziwniejszą wskutek dziwnego pomieszczenia duchowych i fizycznych pierwiastków w tej idei leczenia udrczeń i świadomości za pomocą operacji chirurgicznej.

— Sądę, że mieszanina owa nie powinna dziwić nas do zbytku, gdyż jest ona prawidłem stałym. Dłaczegóż wyleczenie wyrzutów jakimś aktem fizycznym miałyby być rzeczą dziwniejszą niż nabawienie ich takim samym aktem.—Sądę zaś, że takim właśnie jest źródło większości zgryzot.

— Tak,—odrzekł Henryk, walcząc jeszcze o zachowanie równowagi swego umysłu wobec tego całkowitego obalenia jego uprzedzenia.—

Tak sędzę, ale umysł przyzwala na postępek, spowodowujący zgryzotę, i sędzę że to właśnie nadaje mu cechę moralną.

— Zapewne, — odrzekł doktor; — uważam też za rzecz doświadczoną, że pacjenci nigdy nie przychodzą do mnie wcześniej, aż doznają rzetelnego żalu i smutku z powodu czynu, o jakim chcą zapomnieć. Żałowali już zań, a zgodnie z wszelką teorią pokuty moralnej można utrzymywać, że żal równoważy wykroczenia moralne. Sposób mój przeto, jak pan widzi, tylko dokonywa pod względem fizycznym tego, co się już dokonało pod moralnym względem. Kapłani i moralisci każą o zapominaniu i rozgrzeszaniu z grzechu wobec żalu, ale niewysychające źródle łez pokutników świadczą, jak płonnymi są te zapomnienia. Ja więc spełniam to, co oni obiecują. Mówią oni pokutującemu, że mu już zapomniano. Już go uwolniono od jego grzechu. Zgryzota, wstyd i wyrzuty sumienia dzierżyły okrutne swe berło nad życiem ludzkim od początku wieków aż dotąd. Usadowiwszy się w tajemniczym labiryncie mózgu, sądziły one, iż panowanie ich jest pewne, ale światło nauki dosięgło ich i oswobodziło ich niewolników. Przy tych słowach doktor wyrazistym ruchem dotknął się stojącej obok baterii.

Nie opowiadając już o dalszych szczegółach rozmowy z tym dziwnym Panem Życia, dość będzie, gdy powiemy, że Henryk zgodził się na wyznaczenie odwiedzin z Magdaleną na dzień następny, doznając przytem takiego uczucia, jak gdyby zawierał naganną jakąś ugodę z dyabłem. Nie mógłby powiedzieć, czy istotnie spodziewała się czego po tem, czy też nie. Umysł jego w ciągu całej rozmowy znajdował się w stanie jakiegoś oszołomienia i chwiał się, już

uwiedziony zaraźliwą ufnością wobec tonu doktora, jego spokojnych, zrozumiałych objaśnień naukowych, wobec wykładu o przyrządzie elektrycznym, już znowu przechodząc do skrajnego sceptycyzmu i jakiejś pogardliwej niecierpliwości względem samego siebie za to, że mógł słuchać tak widocznego kuglarstwa. Zaledwie uszedł kilka kroków, widok i odgłosy ożywionej ulicy z jej praktycznymi sprawami rozproszył zupełnie resztki wpływu chiromanckiej atmosfery laboratorium doktora Heidenhoffa, i pewnym był, że go opanował wówczas jakiś obłąd.

Tegoż wieczora poszedł do Magdaleny z zamiarem niemówienia jej, jeśli będzie można, o tem, iż umówił się co do bytności u doktora; chciał natomiast zdać jej sprawę w taki sposób, iżby ją od tych projektów odstręczyć. Ale wobec istoty o tak podnieconem i stanowczem usposobieniu, jak ona, okazało się to zgoła niemożliwem. Zmuszony był przyznać się do swojej z doktorem umowy.

— Dlaczegoście się nie umówili na przedpołudnie?—zapytała Magdalena.

— Cóż ztąd, idzie więc tylko o parę godzin.

— A czyż myślisz, że parę godzin nic dla mnie nie stanowi—zawołała, wybuchając płaczem histerycznym.

— Nie powinnaś do tego mieć takiej ufności. Jestem przerażony, widząc cię taką, kiedy rozczarowanie może być tak łatwem. Nawet sam doktor mówił, iż nie mógłby napewno obiecać powodzenia; będzie ono zależało od wielu rzeczy.

— Cóż pomoże mówić mi o tem—odrzekła Magdalena, stając się nagle bardzo spokojną—kiedy mam jedną tylko tę szansę do życia; czy sądzisz, że przypominanie mi o możliwem nie-

powodzeniu jest objawem dobroci?... Pozostaw mnie samą przez wieczór.

Podniecenie umysłu w ciągu dni dwóch, ukazując się po tak długim okresie głębokiego przygnębienia, wprawiło ją w stan jakiegoś niepokoju, graniczący z histeryją.

Ciągle zmieniała postawę, wstając, siadając, lub chodząc w rozdrażnieniu. Raz zaczynała mówić szybko, to znowu nagle wpadała w milczenie uparte, w którem zdawała się nic nie słyszeć. Raz albo dwa razy rozśmiała się nienaturalnym śmiechem nerwowym, wreszcie rzekła:

— Kiedy już zapomnę wszystko o sobie i nie będę pamiętała o żadnym z powodów, dla którego nie miałabym pójść za ciebie zamąż, to może ty znowu zapamiętasz to, o czem ja zapomnę i nie zechcesz mnie.

— Wiesz bardzo dobrze, iż chcę ciebie, cokolwiek będzie, bez względu na to, co się zdarzy albo nie zdarzy.

— Zastanawiam się tylko nad tem, czy to będzie uczciwem wyjść za ciebie, kiedy zapomnę—ciągnęła dalej w zamyśleniu. Nie wiem, możebym powinna była wziąć teraz od ciebie słowo, że nie będziesz prosił mnie o rękę, gdyż naturalnie wtedy nie będę wiedziała o żadnym z powodów, dla którego bym miała odmówić.

— Nie obiecałbym tego.

— Ależ nie zechcesz przecie nadużywać mojej niewiadomości; bądź co bądź zwalnię cię teraz z twego zobowiązania i pozostawiam swobodę postąpienia jutro, kiedy już zapomnę, tak, jak ci się podoba. Chciałabym, abyś mi obiecał, iż nie pozwolisz mi wyjść wówczas za siebie, gdyby nie to, że czuję, iż zupełne zapomnienie przeszłości uczyni mnie znowu tak

czystą i dobrą, jak gdybym... jak gdybym była taką, jak i inne kobiety.—Tu wybuchnęła płaczem, jęcząc gorzko przez chwilę.

Ufność zupełna, z jaką spodziewała się, że jutro oczyści całkowicie pamięć jej ze smutnych wspomnień przeszłości, kolejno przerażała go, albo też kusiła tak dalece, iż oddawał się również rajskim marzeniom. Nie potrzebował też dodawać, że myśl przyciśnięcia do pierśsi jego żony tak dziewiczej i świeżej sercem i pamięcią, jak była wówczas, gdy oczarowała go poraż pierwszy jej krasa dziewczęcą, że myśl ta rozkoszną była dla jego wyobraźni.

— Przypuszczam, że będę mogła mieć wówczas mamę przy sobie—rzekła wesoło. Jakie to dziwne będzie, myślałam o tem dzień cały. Często spostrzegam, że patrzy na mnie jakoś dziwnie; zapytam, o czem tak myśli, a ona mnie odpędzi.

— Wiesz Henryku, czuję się tak, jak osoby umierające, gdy myślą, jacy ludzie przyglądać się będą po śmierci ich twarzy. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek z moich przyjaciół, wiedzących o mnie wszystko, widywał mnie, gdy już zapomnę. Będziesz się starał o to Henryku, nieprawdaż?

— Dlaczego moja droga, jest to życzenie chorobliwe. Cóż obchodzić może zmarłego, którego dusza jest w niebie, kto patrzy na jego martwe oblicze. Tak samo też będzie z tobą nazajutrz po operacji, jeśli się ta uda.

Pomyślała chwilę, a potem rzekła, potrząsając głową:

— Dobrze, bądź co bądź jednak, chciałabym, aby z tych, co mnie znali, tylko przyjaciele moi mogli mię oglądać. Będziesz tego przestrzegał Henryku. Ty będziesz mógł patrzeć na mnie, ile ci się podoba, a patrząc myśleć,

co zechcesz. Nie starałabym się pozbawiać cię pamięci o czemkolwiek bądź. Nie sądzę, aby kiedykolwiek kobieta ufała mężczyźnie tak, jak ja tobie. Jestem pewna, iż żadna nie miała nigdy do tego takich powodów. Smuciłabym się, gdybyś nie znał moich błędów wszystkich. Jeżeli gdziekolwiek na świecie ma się przechowywać o nich pamięć, to chciałabym, aby to właśnie było w twojem sercu, nie zaś gdzie indziej, chyba, że Bóg ma serce równie dobre jak twoje... Zaśmiała się do niego przez te łyż najśłodsze, jakie napelniały kiedykolwiek oczy człowieka, przez łyż bezgranicznej, zupełnej ufności.

Nazajutrz o godzinie pierwszej z południa, Magdalena siedziała na sofie poczekalni doktora Heidenhoffa z zaciśniętymi wargami i bladą twarzą, Henryk zaś nerwowo przechadzał się po pokoju i ukradkiem a niespokojnie spoglądał na nią. Oboje nie mówili prawie ze sobą tego rana.

— Wszystko gotowe,—rzekł doktor, wysuwając się przez drzwi swojej pracowni i znikając znowu. Magdalena porwała się z miejsca, Henryk położył rękę na jej ramieniu, mówiąc:

— Pamiętaj, droga, że to był twój pomysł, nie mój, i że niepowodzenie eksperymentu nie zmieni mnie ani trochę.

Opuściła głowę, nie odpowiadając i oboje weszli do pracowni. Magdalena drżąca i śmiertelnie blada usiadła na krześle operacyjnem, głowę zaś jej unieruchomiono odpowiedniami klamrami. Zamknęła oczy i włożyła rękę swą w dłoń Henryka.

— Teraz—rzekł doktor do niej—niech pani zatrzyma uwagę na tej grupie wspomnień, którą chcę usunąć; strumień elektryczny łatwiej zdąży po włóknach, poruszonych pod wpływem prze-

chodzącej po nich siły nerwowej. Poczawszy, że myśli ześrodkowały się nieco, dotknie pani mej ręki.

Po kilku chwilach Magdalena ujęła ramię doktora, a natychmiast począł się rozlegać charakterystyczny szmer baterji. Ścisnęła trochę mocniej rękę Henryka, ale nie okazała żadnych oznak innych. Dźwięk ustał. Doktor usunął klamry, Magdalena otworzyła oczy i zamknęła je znowu ospale.

— O jakże jestem senna!

— Powinna pani teraz położyć się i zdrzemać—rzekł doktor.

Za pracownią był mały pokoik z sofą. Zaledwie dotknęła poduszek głową, natychmiast zasnęła. Doktor i Henryk pozostali w pokoju operacyjnym, zaś drzwi do małego pokoiku były tylko przyknięte, tak aby mogli posłyszeć, gdy się obudzi.

XI.

— Jak długo będzie spała, doktorze?—pytał się Henryk, przekonawszy się z zadowoleniem, że Magdalena śpi istotnie.

— Pacjenci budzą się zwykle po godzinie lub dwóch—odpowiedział doktor. Ona była bardzo senna, a to jest znak dobry. Sądzę, że możemy mieć jaknajlepszą otuchę co do wyników operacyi.

Henryk chodził niespokojnie po pokoju. Doktor, popatrzawszy nań przez chwil kilka, zawołał:

— Jesteś pan nerwowy. Mamy wielki czas jeszcze do czekania i najlepiej będzie zachować się z możliwym spokojem, gdyż w razie wyników niezadawalniających, przyjaciółka pana będzie potrzebowała pociechy, a pan, będąc sam podnieconym, nie podołasz zadaniu. Mam tu bar-

dzo dobre cygara. Zrób mi pan zaszczyt i spróbuj jednego z nich; przepisuję to, jako lekarz. Nerwy pańskie domagają się uspokojenia.—To mówiąc, podał młodzieńcowi pudełko z cygarami.

Kiedy Henryk z ukłonem podziękowania wziął cygaro i zaczął z nim znowu biegać po pokoju, doktor, który się był usadowił wygodnie, rozpoczął teraz rozmowę, widocznie z uprzejmą chęcią rozerwania jego umysłu.

— Istnieje wiele, jak się spodziewam, takich zastosowań mego sposobu, które będą miały w sobie coś zabawnego. Weź pan np. wypadek osoby, która, popełniwszy zabójstwo, przychodzi do mnie i zapomina o wszystkim. Wyobraźmy, iż następnie zostaje aresztowaną, i że stwierdzonem będzie, iż jakkolwiek spełniła zbrodnię niewątpliwie, nie może w żaden sposób przypomnieć swego występku i w sumieniu swem byłaby niewinna jak nowonarodzone dziecko; cóż wówczas? Jak pan sądzisz, co uczyniłyby władze?

— Myślę, że byłyby w wielkim kłopotcie.

— Z pewnością, ja myślę tak również. Wypadek taki uwydatniłby z całą jasnością owo jaknajzupełniejsze pogmatwanie i ową sprzeczną, w jakich uwikłały się współczesne teoryje etyki i odpowiedzialności moralnej. Czas wielki, aby świat ocknął się już pod tym względem. Grubobym się cieszył, narzucając zagadnienie to społeczności. Mam nadzieję, że lada dzień przyjdzie tu jaki morderca i zażąda mych usług.

— Mógłbym również spodziewać się innego jeszcze wypadku—ciągnął on dalej, poprawiając w ustach cygaro i przekładając nogi.—Wyobraź pan sobie, że ktoś wyrządził komuś wielką krzywdę, a dręczony wyrzutami przycho-

dzi do mnie, gdzie moja baterija zabiera mu z pamięci ów szczegół. Wyobraź pan, że człowiek, skrzywdzony przezeń, ściga go z sercem pełnem mściwości, dopada go w końcu, ale zarazem spostrzega, iż zapomniał on zupełnie, że nie można mu przypomnieć o tem, za co właśnie ukarać go pragnie.

— Byłoby to bardzo przykre, rzekł Henryk.

— Nieprawdaż? wyobrażam sobie, że ścigający mściciel, gdyby tylko był zajadłym, mógłby istotnie wylewać łzy gorzkie, stojąc wobec ofiary i widząc, z jaką zupełną nieświadomością jakiegokolwiek bądź obraży wzrok jej spotyka się z jego wzrokiem. Widok taki mógłby wytrącić sztylet nawet korsykaninowi. Cóż za rozkosz można byłoby znajdować w zemście, gdyby mściciel, topiąc puginał w piersiach ofiary, nie mógł mu syknąć do ucha: pamiętasz! Takież zadowolenie miałyby się chyba, torturując idyjotę, albo znęcając się nad trupem. Nie mówię tu o istotach bydlęcych, które byłyby nawet kamień, o któryby się potknęły, ale o ludziach dość inteligentnych, aby zrozumieć, czem jest zemsta.

— Ale czyż nie sądzisz pan, że i w takim nawet wypadku, o jakim pan mówisz, mściciel byłby zachował pewną gorycz względem swego wroga, nawet gdyby tenże zapomniał zupełnie o przewinieniu.

— Wyobrażam, iż czułby zawsze do niego pewną chłodną odrazę—odpowiedział doktor—odrazę taką, jaką się czuje względem przedmiotu albo zwierzęcia, zespolonego z jakimś przykrym wypadkiem; ale wszelka zaczepka czynna byłaby tu moralną niemożliwością, gdyby tylko całkowicie był pewnym, że tamten jak najzupełniej postradał świadomość winy. Ale marzenia o

którymkolwiek bądź skutku zastosowania mego sposobu nie sprawiają mi tyle rozkoszy, jak myśl o użyciu go do wywołania całkowitego, dobrowolnego, zupełnego i radosnego przebaczenia w takich wypadkach, kiedy inaczej, pomimo chęci najlepszych, byłoby ono dla nas niemożliwym, poprostu dlatego, iż nie możemy zapomnieć. Z powodu takiej niemożności przyjaciele muszą rozstawać się z przyjaciółmi, którzy ich skrzywdzili, rozstawać się muszą nawet wtedy, gdy z całego serca życzą im dobrze, a to dlatego tylko, iż nie mogą patrzeć się w oczy i narażać się na ciągłe przypominanie jakiejś przykrości. Jakże pożądaną nowiną dla wszystkich takich byłaby wiadomość o mojej metodzie.

— Kiedy świat zacznie ją rozumieć, spodziewam się, że nieraz dwóch mężczyzn, dwie kobiety, albo kobieta i mężczyzna przyjdą do mnie i rzekną: Pokłóciliśmy się, obraziliśmy siebie, znieważyliśmy przyjaciela, żonę, męża, żałujemy tego, chcielibyśmy sobie przebaczyć, ale nie możemy, gdyż ciągle się nam to przypomina. Wprowadź pan pomiędzy nas ciszę zapomnienia, abyśmy mogli kochać się, jak dawniej, a tak rozkosznymi będą te źródła ławtwogo i zupełnego przebaczenia, iż nikt nie zechce stracić nawet godziny życia na waśnie. Wrogowie, zajadli w pierwszym ogniu swej nienawiści, pomyślą o sobie i zapragną szukać lepszego zadośćuczynienia swej niechęci, niżli jakakolwiek zemsta dać może.

Henryk nagle zatrzymał się w swem niepokojnem bieganiu, zbliżył się na palcach do przymkniętych drzwi pokoiku i zajrzał tam z niepokojem. Zdawało mu się, iż słyszał lekki szmer; ale nie, Magdalena spała jeszcze głęboko, nie zmieniwszy nawet postawy. Henryk

cofnął się pocichutku i znowu prawie zupełnie przymknął drzwi za sobą.

— Przypuszczam—zaczął znów doktor po pewnym przestanku—iż z chwilą, gdy metoda moja o tyle będzie znana, iż zwróci uwagę, będę się miał z pyszna od teologów i moralistów. Rozumie się, mam na myśli tępogłowych tylko. Powiedzą, że wynalazł maszynę, niszczącą sumienia ludzkie, oraz, że podkopuje podwaliny społeczeństwa. Sądzę, że jestto tylko frazes. Ci sami ludzie powiedzą, że jest złem leczyć ból moralny, wylęgły ze złego czynu, którzy zazwyczaj myślą, iż nie godzi się leczyć chorób fizycznych, wynikających ze zdroźnego życia. Ale okrzyk ten nie będzie trwał długo, gdyż wszyscy rychło się przekonają, że moralność obu tych rodzajów leczenia jest jednaka. Jeśli jeden z nich jest złym, to takim samym jest też drugi. Jeśli jest coś świętego i płynącego z woli Boga w bolesnych skutkach grzechu, to równie nagannem będzie zapobiegać im, bez względu na to, czy są one cielesnemi, czy też duchowemi. Domniemany wpływ poprawczy owych cierpień jest jednako wielkim, tak w jednym jak i w drugim wypadku. Ale, przyznasz pan, nikt nie utrzymuje dzisiaj, że doktor nie powinien zestawiać nogi, którą właściciel jej złamał po pijanemu albo w bijatyce, a to dlatego, iżby człowiek ów kulał całe życie ku przestrodze własnej oraz innych.

— Wiem, iż niektóre mgliste umysły utrzymują mniej-więcej, że sprawa zapłaty moralnej wymaga, jak gdyby, więcej rozumu i sprawiedliwości, niż zapłata fizyczna. Żywią oni niejasne pojęcie, że prawo zapłaty moralnej jest szczególnie prawem boskiem, gdy tymczasem prawo fizycznej zapłaty jest jakgdyby prawem tego, co oni nazywają przyrodą, jak gdyby czemś

mniej boskiem, niż tamto. Nedorzecznosc tę potrzeba tylko powtórzyć wyraźniej, a natychmiast się ją obali. Słuchaj pan tylko: z pomiędzy tych praw obu, tylokrotnie powoływane prawo zapłaty fizycznej jest stanowczo bardziej moralnem, działanie jego bywa bardziej oczywiście, niż działanie samego prawa moralnej zapłaty. Jeżeli bowiem niekiedy grzesznik zatwardziały wymyka się wszelkim wyrzutom sumienia, to nie będzie on mógł uniknąć chorób i przypadłości, będących następstwem gwałtów i występku. Całe działanie zapłaty moralnej polega, przeciwnie, na dreczeniu ludzi z duszą tkliwą, którzy nigdyby nie zrzadzili bardzo wiele złego—gdy tymczasem iście zatwardziałe wyrzutki społeczeństwa już wskutek samej zatwardziałości swojej unikają cierpienia. Z drugiej strony, spójrz pan, jak dobroczynnem i ożywczem jest działanie zapłaty fizycznej w zestawieniu z okrucieństwem moralnej zapłaty—pamiętaniem występku. Człowiek wychodzi z choroby swojej lub przypadku i znowu jest zdrowym; otrzymał przytem naukę, co do wartości zdrowia, o której ten tylko się dowiaduje, kto je stracił. Natomiast wstyd, smutek, hańba z powodu grzechu stają się coraz silniejszymi w miarę tego, jak oczyszczają duszę. Robak ich nie umiera i ogień nie gaśnie. Im głębszym będzie żal, im większą tęsknota i miłość rzeczy lepszych, tem bardziej dojmującym staje się ból wyrzutów, tem silniejszym poczucie straty. Niema ani sensu, ani celu, ani pożytku w tem prawie, zwiększajacem surowosc kary w miarę tego, jak ofiara staje się coraz mniej winną.

—Ach, panie—wołał doktor, powstając i kładąc pieśczołliwie rękę na baterii, a uniesienie tryumfu jaśniało mu w oczach — nie masz

pan pojęcia o pełnem chwały zadowoleniu, jakie ja znajduję w druzgotaniu, burzeniu, unicestwianiu tych czarnych dyjabłów, owych złych wspomnień, karmiących się ludzkimi sercami. Jest to tryumf boski!..

— Ale cóż za nędza, co za nędza—dodał zaraz, a ręka opadła mu bezwładnie—że to proste odkrycie tak późno ukazało się w dziejach świata. Pomyśl pan tylko o tysiącach istnień, jakie byłoby to zbawiło od rozpacz i beznadziejności. Pomyśl o długich, jak życie całe, mrokach smutku zatruwającego wszelką dobroć, wszelką radość, wszelką słodycz!..

Henryk otworzył leciuchno drzwi i zajrzał do wnętrza pokoiku. Magdalena leżała jak najzupełniej nieruchomo, w postaci takiej, jak poprzednio. Zdawało się, że ani jeden jej mięsień się nie poruszył. Z nagłą obawą w sercu Henryk poszedł po cichu, na palcach przez pokój i stanął nad nią. Chwilowy ten strach okazał się płonnym. Pierś jej wznosiła się i opadała długim, pełnym oddechem, lekki rumieniec snu zdrowego barwił jej policzki, a usta rozchyliły się w uśmiechu. Nie podobna było nie sądzić, patrząc na jej sen tak spokojny, że cudowne przeobrażenie dokonało się w niej istotnie, i że okrutny demon pamięci, który tak często czał się za niskiem, białem jej czołem—nareszcie odbiegł.

Kiedy powrócił do pracowni, dr. Heidenhoff siedział już znowu i kontemplacyjnie palił cygaro.

— Zapewne śpi?

— Porządnie!

— To dobrze. Jestem jak najlepszej otuchy. Jest młoda, a to jeden z warunków, sprzyjających podobnej operacji.

Henryk nie odpowiedział nic i nastąpiło dłu-

gie milczenie. Nakoniec doktor zauważył, z miłą człowieka, który uznaje za rzecz godziwą spędzić czas jakiś na rozmowie:

— Lubię czasem rozmyślać, jaki też świat moralny bylibyśmy mieli, gdyby nie było pamięci. Jedno jest dla mnie jasnym: ludzie nie byliby tak występni jak dzisiaj. Rzecz jasna, iż bywałyby złe i dobre z przyrodzenia jednostki, ale usposobienie złe nie pogarszałoby się, jak to jest obecnie, a bez tych postępów w złem nigdybyśmy nie dosięgli głębin zepsucia.

— Dla czego pan tak sądzi?

— Gdyż właśnie pamięć przeszłości grzesznej nas demoralizuje, wpajając w nas poczucie własnej niemocy i spowodowując utratę poszanowania siebie samych. Zabierz pan pamięć, a postępek zły nie uczyni nas gorszymi, niż bylibyśmy przed jego spełnieniem, i nie więcej uzdolni nas do powtórzenia złego kroku, niż bylibyśmy zdolni do postawienia go poraz pierwszy.

— Ale, bezwątpienia, rzecz dobra lub złe postęпки wywierają wpływ na nasz charakter w dobrym lub złym kierunku i potęgują jego złe albo dobre skłonności.

— Daruj mi, drogi panie; postęпки są tylko wyrazem charakteru; przypomnienie ich stanowi właśnie to, co oddziaływa na charakter i nadaje mu takie lub inne skłonności. To też, dlatego mówię, że w razie zniesienia pamięci ludzie, z natury źli, pozostaliby na pierwiastkowym swym szczeblu ujemności, nie zaś postępowałyby w złem, jak to bywało dotąd zawsze w dziejach rodzaju ludzkiego. Pamięć jest czynnikiem moralnego zwyrodnienia. Fakt zapamiętany jest jednym z najbardziej dyjabelskich wpływów na świecie. Nieuchronnie znieprawia on, albo torturuje mężczyzn i kobiety—

odpowiednio do tego, czy robi ich zatwardzia-
łymi desperatami, czy też rzuca na pastwę, ni-
gdy nie gasnącego, smutku i pogardy siebie sa-
mych. Kiedy pomyślę, że każdy grzech jest
tylko środkiem znieczulającym na grzechy, o-
raz że jedynym sposobem usunięcia bólów su-
mienia jest tylko znieczulenie jego, dziwię się,
że jeszcze tylu ludzi próbuje tak gorzkiej i
beznadziejnej drogi, jaką jest żal i poprawa.
Biorąc ogólnie, tak wysławiane przez niektó-
rych zgryzoty sumienia prędzej wpędzają
dziesięciu głębiej w pęta grzechu, zanim jed-
nego przywiodą do cnoty.

Ale, zauważył Henryk, wyobraźmy, że nie by-
łoby pamięci, że ludzie zapominają o swoich
postępkach; pozostałoby oni niemniej również
odpowiedzialnymi za nie jak i dzisiaj.

Ma się rozumieć... t. j. niezupełnie tak.

Nie chcesz pan chyba powiedzieć, że ani od-
powiedzialność, ani sprawiedliwość nie istnieje.
Już widzę, nie uznajesz pan wolnej woli...
Jesteś pan deterministą.

Doktór machnął ręką cokolwiek pogardliwie.

Nie znam się nic a nic na waszych odróżnie-
niach teologicznych. Jestem lekarzem. Po-
wiadam, że nie istnieje zgoła odpowiedzialność
za czyny minione, że niemasz istotnej spra-
wiedliwości w karaniu ich, gdyż istoty ludz-
kie nie są jakimiś teoryjami unieruchomione-
mi, lecz są to ustroje, zmieniające się, rosnące
i ustawicznie postępujące, które w każdej da-
nej chwili nie są już tem, czem były. Dlatego
też, sprawiedliwość, której pozostaje jedy-
na droga—karania w czasie teraźniejszym za
to, co uczyniono w przeszłości, musi zawsze
karać osobę, mniej albo więcej podobną do tej,
która zawiniła, ale nigdy nie identyczną z nią,
a tem samem musi nie być sprawiedliwością.

Tak, panie, nie jest to bynajmniej moją teorią, ale rzeczą powszechną świadomości, że, w należytem rozumieniu, owa różnica pomiędzy jaźnią przeszłą a obecną tegoż osobnika jest tak wielka, iż czyni zeń dwie osobistości różne w odniesieniu do wszelkich celów moralnych. Sam ten fakt tylko, o jakim mówiliśmy przed chwilą — że nikt nie starałby się zemścić na kimś, gdyby wiedział, że winowajca jak najzupełniej zatracił pamięć obrazu, sam ten fakt, powiadam, świadczy na korzyść całego mego założenia. Wskazuje on, że nie na obecną jaźń swego przeciwnika zagniewany jest mściciel, ale na minioną. Nawet w zaślepieniu swojej wściekłości spostrzega on instynktownie różnicę pomiędzy obydwiema. Nie nawidzi tylko terażniejszego człowieka i na nim szuka zemsty — o ile przypuszcza, iż cieśzy się on, przypominając sobie zniewagę, jaką wyrządziła jego jaźń przeszła, albo że jeśli się nie weseli, to przynajmniej znieważa go i poniża samym faktem pamiętania o niej. To znaczy, iż jedynie trwająca wciąż obraza podnieca przeciwko niemu gniew mściciela. Błędem jego nie jest to, że dopuścił się zniewagi, gdyż *on* się jej nie dopuścił, ale to, że pamięta o niej.

Czyliż nie jest to najpierwszą zasadą sprawiedliwości, że nikt nie może być karany za to, czemu podołać nie jest w stanie? Czyż może człowiek dzisiejszy zapobiedz temu, lub zmienić to, co zrobił wczoraj, a raczej powiem — to, z czego już wyrósł, wyrósł mocą procesu fizjologicznego, który mógłby powstrzymać jedynie przez samobójstwo. Byłoby to tem samym, co karać go za grzech Adama, gdyż równie łatwo mógłby on zapobiedz tamtemu; równie też jest zań odpowiedzialnym. Litujecie

się nad dzieckiem, zrodzonym pomimo swej woli, z rodziców zepsutych. Niech się każdy raczej lituje nad sobą—człowiek dzisiejszy, który drogą procesu, tak nieuchronnego jak narodziny, powstał ze stoczonego pnia wczorajszego człowieka, niech się nad sobą lituje. Pomyśl pan, czyli też czasem nie napełnia go obrzydzeniem i zgrozą poczucie tego, iż jest zespolony z owym pniem starym. Zastanów się bowiem tylko: świadomość człowieka istnieje tylko w danym dniu i chwili. Wtedy jedynie on żyje. Jest sobą samym. Dzień ubiegły jest trupem jego, za którego grzechy choć nie brał w nich żadnego udziału, i choć ich z własnego popędu dzisiejszego nigdyby nie był popełnił, musi odpowiadać i ponosić karę. A tyś myślał, młodzieńcze, że istnieje sprawiedliwość...

Rozumiem—rzekł Henryk, po chwili milczenia, że kiedy pół życia upłynie pomiędzy zbrodnią a karą, kiedy człowiek się już przeobrazi, wówczas, istotnie, spostrzegamy pewien brak tożsamości osoby. Zawsze sądziłem, że karanie w takich warunkach jest wielkim barbarzyństwem. Wiem, że trudno mi jest odpowiadać za to, co mogłem zrobić, będąc dzieckiem, przed laty dwudziestu.

— Tak—odrzekł doktor, przykłady jaskrawe tego rodzaju uderzają oko profanów i ludzie mówią też, że to są raczej przykłady odwetu, nie zaś sprawiedliwości. Różnica pomiędzy dwoma krańcami życia, pomiędzy dzieckiem i człowiekiem dojrzałym, młodzieńcem a zdzieciniałym starcem uderza oczy każdego i wszyscy uznają, iż niema tożsamości widocznej pomiędzy takimi dwoma bardzo odległymi szczeblami postępu ustrojów ludzkich. Jakto? kiedyż więc tożsamość poczyna zanikać, kiedy ustaje? W ciągu jednego roku, lat

pięciu, dziesięciu, dwudziestu, czy też ilu? Czy oznaczmy liczbę pięćdziesięciu lat przedziału jako moralną ustawę odgraniczenia, po za którym kara winna być uważana za barbarzyństwo?

Nie, nie! przepaść pomiędzy człowiekiem tej oto chwili i człowiekiem chwili ubiegłej jest tak samo nie do przebycia, jak pomiędzy dzieckiem a mężczyzną. To, co przeszło, przeszło na wieki. O ile sprawa dotyczy istoty sprawiedliwości, niema różnicy pomiędzy takimi wypadkami karania, jakie pan nazwał barbarzyństwem, oraz taką karą, która dosięga winowajcy w ciągu godziny. Niema sposobu połączenia przeszłości z terażniejszością i niema też różnicy pomiędzy tem, co przeszło od wieków, a tem, co minęło przed chwilą.

— Więc morderca po wyjęciu sztyletu z piersi ofiary, nie jest już tym samym, który go zatapiał.

— Oczywiście — odpowiedział doktor — może on się cieszyć ze swego postępu, lub, co jest prawdopodobniejsze, może podlegać reakcyi żalu, może stać się gorszym albo lepszym. Ani gorszość jego, ani lepszosc nie czyni sprawiedliwszą jego kary, jakkolwiek może czynić ją bardziej lub mniej korzystną. Sprawiedliwość domaga się tożsamości; podobieństwo, jakkolwiekby było ścisłe, wymaganiom jej nie odpowiada. Chociażby nawet matka nie mogła rozpoznać swoich synów bliźniąt, gdy są rozdzieleni, to jeszcze przez to ukaranie jednego z nich zamiast drugiego nie stałoby się bardziej sprawiedliwym.

— Więc pan nie uznaje karania zbrodni?

— Owszem, jak najzupełniej — odrzekł doktor. — Tylko, że ja nie uznaję nazywania tego sprawiedliwością, lub przypisywania karze

znaczenia moralnego. Karanie zbrodniarzy jest sprawą publicznego bezpieczeństwa i wygody, zupełnie tak samo, jak środki, zapobiegające niechlujstwu i epidemijom. Potrzeba powściągać tych, którzy przez zbrodnię zdradzili się ze swą skłonnością do popełniania innych zbrodni. Potrzeba też przy pomocy karania ich odstraszyć innych od występku.

— Jak również odstraszyć samego zbrodniarza po jego uwolnieniu—dodał Henryk.

— Objąłem go już wyrazem „innych”— odrzekł doktor.—Człowiek karany jest innym, niż ten, co popełnił zbrodnię, po ukaraniu zaś go znowu jest innym.

— Doprawdy, doktorze — zauważył Henryk, nie widzę, iżby człowiek, uznający w zupełności pańską teorię, mógł choć trochę potrzebować pańskiego sposobu do zatarcia swych grzechów. Nie będzie on nawet mógł myśleć o ganieniu siebie za nie.

— Słusznie, bardzo słusznie — odrzekł doktor.—Metoda moja jest tylko dla tych, którzy nie mogą dosięgnąć mojej filozofii. Ja dla słabych tylko kruszę łańcuchy pamięci, wiążące ich z przeszłością; ale duchy silniejsze nie zależą ode mnie. Mogą one stargać ogniwa żelazne i uwolnić się z więzów. O ileż więcej potrzeba byłoby mądrości i siły do tego, aby z taką pogodą pozostawiać za sobą swą przeszłość, nieboszczykom pozostawiać grzebanie nieboszczyków i zdążyć naprzód, biorąc każdy dzień nowy jako życie osobne, uważając się codzień za nowonarodzonych, gdyż w istocie jesteśmy takimi! Cieleśnie i umysłowo, zaprawdę, terażniejszość musi być zawsze potomkiem przeszłości, zależeć musi od jej warunków i dźwigać ciężary, ale moralnej odpowiedzialności za przeszłość czas terażniejszy nie ma za-

dnej i z samego już określenia tych wyrazów wynika, iż żadnej mieć nie może. Nie trzeba bynajmniej mówić ludziom, iż powinni żałować i smucić się z powodu błędów przeszłości. Nie mogą oni temu podołać. Ja sam cierpię niekiedy dość silnie na reumatyzm, który zawdzięczam uciechom młodości. Dość niedorzecznem byłoby, gdybym ganił teraz siebie, spokojnego, starego chłopa lat sześćdziesięciu, za to, co robił rozhukany student, a czego jednak, pragnąłbym niejako, aby nie robił.

Ach Boże! — ciągnął dalej doktor — czyż niedość mamy smutku i fałszu na świecie dzisiejszym bez tych moralistów, uczących nas, iż obowiązkiem naszym jest uwiecznić wszystkie nasze grzechy i wstyd w uwielokratniającem je zwierciadle pamięci, jakgdybyśmy więcej doprawdy byli sprawcami grzechów naszej przeszłej jaźni, niż grzechów naszych ojców. Iuż mężczyzn i kobiet zatruwało sobie życie łzami z powodu jednego jakiegoś grzechu odległej przeszłości. Szaleństwo ich jest tem większe, im jest smutniejsze, z kądiną podobnem jest ono do tego, jak gdyby ktoś poświęcił życie głupim zachwytem nad samym sobą z powodu jakiegoś dobrego czynu, którego kiedyś dokonał. Następstwa dobrych i złych czynów ojców naszych i nas samych spadają jak deszcz na nasze głowy, już oświeżające nas, już smagając nagrodą albo karą, jednako niezasłużoną przez nasze jaźnie dzisiejsze. Ale, znosząc to wszystko z możliwym spokojem, pamiętajmy, że, tak samo jak tylko głupcy chlubią się przeszłemi swemi cnotami, tak podobnie też tylko pewien bardzo smutny rodzaj szaleńców dręczy siebie za błędy przeszłości.

Czujnego ucha Henryka doleciał szmer jakiś

z małego pokoiku. Zbliżył się do drzwi i zajrzał. Magdalena siedziała już na sofie.

XXII.

Postawa jej miała w sobie coś szczególnego. Nogi spoczywały na podłodze, lewą ręką wsparła się o sofę, prawa zaś podniesiona była do skroni i jakby zastygła w chwili odgarniania ciężkiego zwoju włosów, które się stargały w czasie snu. Brwi były zlekka ściągnięte, oczy zaś wpatrzone w dywan. Zdawała się być tak zatopiona w rozmyślaniu, iż nie zauważyła wejścia Henryka, aż do chwili, kiedy, stanawszy przy niej, zapytał głosem, któremu na próżno usiłował nadać cechę pewności:

— Jakże się czujesz?

Nie spojrzała na niego wcale, ale odrzekła tonem rozmarzenia, cedząc wyrazy, jak ktoś, co pogrążony jest w melancholii:

— Czu-ję się do-brze. Chciałabym zawsze tak pozostać.

— Czyś się dopiero teraz obudziła?—zapytał po chwili. Sam nie wiedział, co mówić.

Tym razem spojrzała na niego, ale z wyrazem połowicznej tylko uwagi, jak gdyby nie mogła jeszcze uwolnić się od swoich myśli.

— Obudziłam się już od niejakiegoś czasu, usiłując odgadnąć...

— Odgadnąć? co? — zapytał Henryk, udając zlekka niewiadomość. Nie wiedział on najzupełniej, co ma z nią począć.

— Jakto co?... Co ja miałam zapomnieć, żeśmy tu przyszli? — odrzekła cierpko. — Nie sądzę, że doktor zrobił ze mnie waryjatkę. Było to coś jakby hewing, harrwing, Howard, coś, co się zaczynało od litery *h*, jestem tego pewną... *H*—ciągnęła w zamyśleniu, przyciskając rękę do warkocza, który jeszcze dotąd odgar-

niała z czoła.—*H...* albo może *K...* powiedz mi, Henryku? musisz przecie wiedzieć...

— Po co, po co?—bełkotał przygnębiony.— Jeśliś przyszła tu, aby zapomnieć o tem, to cóż za pożytek z mówienia ci teraz, kiedyś już zapomniała... to jest... ma się rozumieć, przypuszczając, że było coś do zapomnienia.

Nie zapomniałam tego — oświadczyła. Spósób się nie udał; zmieszał mię on tylko na chwilę, wszystko jedno, możesz mi powiedzieć. Zaraz, zaraz, już prawie przypominałam... przypomnę natychmiast. I spojrzała nań tak, jak gdyby upór jego zaczynał już ją męczyć.

W tej właśnie chwili doktor wszedł do pokoju.

— Doktorze, ona chce wiedzieć to, o coś się pan starał, aby zapomniała.

— Cobyś też pani rzekła, gdybym powiedział jej, że była to dawna sprawa miłosna—odparł doktor chłodno.

— Rzekłabym, żeś pan był niezupełnie grzecznym—odpowiedziała mu Magdalena, patrząc na niego trochę wyniośle.

— Przepraszam, droga pani. Bardzo słusznie się pani oburza, ale mam nadzieję, że się nie rozgniewasz na starego jegomościa—mówił doktor, patrząc na nią z pod krzaczastych brwi swoich z wyrazem współczującej życzliwości.

— Przypuszczam, doktorze, iż chciałeś mi tylko dokuczyć tak, ażeby mi się jeszcze bardziej pomieszało—odrzekła Magdalena, śmiejąc się—ale nie uda się panu. Zaraz, zaraz przypomnę... zaczynało się to od *h*, jestem prawie pewną tego... poczekajcie państwo: Harrington... Harvat... coś w tym rodzaju...

— Może Harrison Cordis—podał doktor poważnie.

— Harrison Cordis? Harrison...—powtarzała, ścigając brwi w zamyśleniu. Nie, to bardziej było podobne do Howard. Nie potrzebuje już waszych napomnień. Zbijacie mnie tylko z tropu.

Doktór opuścił pokój, śmiejąc się, a Henryk rzekł z sercem, wezbranem radością, wskutek czego głos jego był urywany:

— Chodź, moja droga, lepiej będzie, gdy ztąd wyjdziemy. Pociąg odchodzi o czwartą...

— A jednak ja przypomnę — odrzekła ona, śmiejąc się do niego i zuchwale potrząsając głową.

Henryk rozkrzyżował ramiona: rzuciła się w nie i usta ich spotkały się w pocałunku szczęśliwym i miłosnym z jej strony, bez żadnego uczucia szczególnego, ale usta, które całowała, były drżące. Zdziwiona trochę jego wzruszeniem znowu pochyliła mu się w objęcia i patrząc nań swemi przepysznyemi oczami rzekła:

— Jak ty mnie kochasz, mój drogi!

O, cudowne, rozkoszne światło jej oczu! Nie widział go od czasu, gdy była dziewczęciem, a nigdy jeszcze nie jaśniało dla niego.

Gdy mieli odchodzić, doktor pociągnął go na stronę.

— Najpomysłniejsza operacyja, panie, jakiej kiedykolwiek dokonałem—rzekł w upojeniu.—Widziałem, jak pana raziło, kiedym tak otwarcie mówił jej to, o czem zapomniała. Niepotrzebnie się pan trwożył. Pamięć o tem znikła bezwzględnie i nie może być wskrzeszoną.

Pacjentka może się domyślać tu wszystkiego w świecie z wyjątkiem tego, o co naprawdę chodziło. Całkiem bezpiecznie będzie pan mógł przy niej wspominać o faktach rzeczywistych, a jedyne niebezpieczeństwo będzie

takie, że jeżeli nie pomyśli, iż pan żartuje, to przestraszy się, że dostajesz pan obłędu.

Powracając do domu, Magdalena przez całą drogę pełna była zgadywania i domysłów co do tego, czego też mogła zapomnieć. W końcu jednak, kiedy doszła do wniosku, iż musiało tam iść o Harvard College i kiedy Henryk uchylił się od wyraźnego zaprzeczenia temu, umocniła się w tem przekonaniu stanowczo. Oznajmiała przytem, iż dostanie dawne spisy, poprzeczytuje wszystkie imiona, oraz że odwiedzi same kolegium, aby się przekonać, czy wspomnienie jej czasem nie odżyje. Ale, kiedy Henryk uroczyście wymógł na niej, aby tego nie robiła, gdyż w razie zmartwychwstania wspomnień, związanych z tą instytucją mogłaby doznać niejakiej przykrości, zgodziła się na zaniechanie zamiaru.

— Chociaż, czy wiesz, mój drogi — dodała — niczego bym na świecie tak nie pragnęła wykryć, jak tego, dla zapomnienia czego chodziliśmy do doktora Heidenhoffa... Cóż udajesz skromnisia! Czyż naprawdę nie byłabym rada, gdyby mi udało się to zrobić?

— Doprawdy nie miałyby to ważnych następstw—odrzekł Henryk, niby to pilnie zajęty otwieraniem szczyryka.

— Przypuśćmy, że nie, to jednak niemożność przypomnienia nie przestaje być również dręczącą.

— Jak ci się podobał doktor Heidenhoff?

— O, sądzę, że jest dość dobry, jako doktor, ale myślę, iż żart o sprawie miłosnej wcale nie był piękny. Mężczyźni są tak szorstcy...

No, przecież on nie myślał nic złego—rzekł Henryk z pośpiechem.

Przypuszczam, że chciał umyślnie powiedzieć coś najniedorzeczniejszego, aby mię zbić z tro-

pu i rozśmieszyć. Z pewnością jednak wolałabym mu natrzeć uszu. Widziałam, że i panu to się nie podobało, mój panie.

Jakto?

O, nie myśl, że nie zauważyła jakieś się zachnął, kiedy on to mówił, jak gniewnie spojrzaleś na niego. Możesz rościć pretensyje do wszystkiego, tylko nie do oszukiwania mnie. Byłbyś jedynym, a niedorzecznym sędzią, gdybyś myślał, że kiedykolwiek spjrzała na kogo innego. Tu wybuchnęła śmiechem, a twarz jej mieniła się rumieńcem i bledością pomięszania. Gdzie tam, byłeś pan istnym obrazem zazdrości na samą wzmiankę o tem. Boże, jakimże pan będziesz tyranem. Chciałam przyznać się panu do niektórych moich flirtacyj, ale teraz tego nie zrobię. Ach, Henryku, jak zabawnego uczucia doznaję w twarzy, kiedy się tak śmieję — jakgdybyby mięśnie moje całkiem pordzewiały. Mogłabym pomyśleć, że nie się przez cały rok nie śmiała szczerze.

Prawie nie ważył się jej pozostawiać samej, gdy przybyli do domu — a to z obawy, że zacznie znowu myśleć i troskać się tą sprawą i że ostatecznie będzie mogła natrafić na klucz smutnej zagadki swego życia, tak niedawno zatartej i powróci do swojej dręczącej manii wobec okropności odkrycia. Jak tylko mógł najwcześniej, pobiegł prawie znowu do jej mieszkania, miotany panicznym strachem. Ona widocznie myślała była o tej sprawie.

W jaki sposób przybyliśmy tu razem do Bostonu, Henryku. Nie rozumiem zupełnie, po com tu przyjechała. Przypominam, żeś ty przybył później.

Tak, przyjechałem po tobie.

O cóż to chodziło? Czy byłam chora?

— Bardzo chora.

— Na głowę?

— Tak.

— Ale, dla czegoż mama nie jest tu ze mną.

— Zdawało się, że... żeś jej nie potrzebowała—odpowiedział Henryk, a chłodny pot okrywał mu policzki wobec tej inkwizycji okropnej.

— Tak—odrzekła z wolna. Przypominam sobie twoją propozycję wezwania jej i to, że ja się nie zgodziła. Nie mogę pojąć dla czego. Musiałam być niespełna rozumu, jak powiadasz Henryku, ciągnęła dalej, patrząc nań z wyrazem nagłego rozrzewnienia, musiałeś być bardzo dobrym dla mnie. Doktor Heidenhoff nigdyby nie nakłonił mię do zapomnienia o tem.

Nazajutrz przyjechała matka. Henryk spotkał ją na stacyi i objaśnił wszystkim, tak, że przywitała się z Magdaleną, przygotowana już do zmiany, ma się rozumieć, o tyle, o ile biedaczka mogła być do tego przygotowaną. Rzecz ta przechodziła widocznie jej umysł. Dni następnych chodziła z twarzą nawpół osłupioną i bardzo mało mówiła. Na Henryka spoglądała zawsze z jakimś, budzącym litość, wyrazem wdzięczności i zapytania. Na Magdalene patrzyła z pewnem rodzajem oszołomienia, które potęgowało się raczej z dniem każdym, nie zaś słabło. Zamiast oswajać się z przeobrażeniem, codzien, jak się zdawało, dziwiła mu się bardziej. Dawne chłopięce usposobienie dziewczyny, które powróciło w całej pełni, zdawało się razić i boleć jej matkę jakimś poczuciem niewłaściwości, którego pokonać nie mogła. Kiedy Magdalena obchodziła się z kochankiem, używając swoich tyrańskich względem niego sposobów, których widok rozkoszniejszym był dla niego, niż powrót zorzy,

matka zdawała się być tem przestraszona, próbowała powściągać ją trochę, zaś do Henryka zwracała się z pewnym rodzajem łagodnych wymówek, których słuchać było bardzo smutno. Pewnego wieczora, gdy przyszedł o zmroku, ujrzał Magdalенę, siedzącą ze „swojem dzieckiem”, (jak poczęła znowu nazywać matkę) w objęciach: pocieszała je i kołysała, a stare dziecko z jękiem i łkaniem tuliło się do piersi córki.

— Posmutniała biedna mateczka; nie pojmuję, co się jej stało. Weźmiemy ją z sobą w naszą podróż posłubną. Potrzeba jej jakiejś zmiany.

— Boże dobry, tego nigdy nie będzie, protestowała biedna kobiecina, spoglądając, jak zwykle, nawpół przestraszona na Henryka. Pan Burr wcale nie znajduje, aby to było piękne.

— Sądzę, że pan Burr zanadto zajęty jest myślą o piękności mojej, aby miał myśleć o czem innem—rzekła Magdalena.

— To podobne do sukni, jaką pani miała na majówce w Hemlock Hollow—rzekł Henryk.

— Tak? nie, wcale nie jest podobne, trochę tylko zakrawa na tamtę. Jest jasna i skrojona tak samo—oto całe podobieństwo, ale, rozumie się, trudno wymagać od mężczyzny lepszej znajomości rzeczy.

— Zupełnie podobna, utrzymywał Henryk.

— Co pan da w razie przegranej?

— Najpiękniejszą parę branzoletek, jaką znajdę w mieście.

Zakłady są rzeczą brzydką i dla tego sądzę, że obowiązkiem moim jest przyjąć ten zakład, aby zniechęcić pana do innych. Będąc narzeczoną, panna musi być odpowiedzialną za moralność młodzieńca.

Opuściła pokój i po chwili powróciła tam

w prawdziwym stroju majówkowym. Oto jest, rzekła, zatrzymując się przed lustrem.

— Ach prawda, prawda... przegrałem. Zawołał Henryk, patrząc na nią z zachwytem. Jakże piękną była pani wtedy. Nigdy cię nie oglądał taką przedtem. Czy pamiętasz, że był to dzień, kiedy cię pocałował po raz pierwszy? Nigdybym się na to nie odważył, ale wtedy nie mogłem już wytrzymać.

— Tak właśnie, o ile sędzę, powiedziałeś pan na majówce, zauważyła Magdalena sucho. Jest mi w tem niezgorzej — dodała, oglądając siebie w lustrze okiem znawcy. W istocie nie wierzyłam, żeś pan nie mógł wytrzymać. Nie powinnam była być dla ciebie tak okrutną, biedny chłopcze. No, no! wcale nie do tego mówię... proszę bardzo. Mama nadchodzi.

Pani Brand weszła do pokoju, niosąc duże pudło tekturowe.

O, mój strój weselny, nieprawdaż, mam? zawołała Magdalena, porywając pudełko. Henryku, możesz iść do domu. Nie będę mogła już towarzyszyć ci dzisiaj. Jest sprawa ważniejsza.

— Ale jabym chciał ciebie w niej zobaczyć — ociągał się Henryk.

— Tak?

— Tak.

— Bardzo?

— Okropnie.

— Dobrze, więc usiądź i czekaj tutaj sam z godzinę, a może zobaczysz. Kobiety poszły na górę.

Nareszcie dał się słyszeć szelest na schodach, Magdalena weszła znów do pokoju, jaśniejąc białością lśniących atlasów. Poza gazowym welonem, spadającym od korony ciemnych włosów na ramiona, twarz jej promieniała

wyrazem, jakiego w niej nigdy nie widział dawniej. Stała przed nim już nie wesola, pełna siebie dziewczyna, ale uległa i ufająca mu oblubienica. Promienny wyraz królewskości, z którym tak dobrze było jej dumnej krasie innym razem, teraz ustąpił miejsca płochliwej i zapłonionej miękości, mającej niewysłowiony urok dla jej kochanka. W jaśniejących jej oczach tłum cba w dziewczyczych mięszał się z tkliwą uroczystą ufnością kochania.

Gdy patrzył na nią, oczy jego zwilżyły się tkliwością, a twarz jej stała się niewyraźna i mglistą dla jego wzroku. Biała szata utraciła blask swój i kształty i nagle Henryk znalazł się wobec białej rolety swojej sypialni, przez którą przebijało się światło poranku. W osłupieniu, w oszołomieniu jakimś podniósł się na łokciu w pościeli. Tak jest, znajdował się w łóżku. Rozejrzał się dokoła, spoglądając już na jeden, już na drugi ze znanych sobie przedmiotów, aby się upewnić o rzeczywistości swego położenia. Oto obok niego leżał otwarty jego zegarek, cykając jeszcze i wskazując zwykłą godzinę wstawania. Dalej, odwróciwszy się, spostrzegł swą suchą księgę o elektryczności, którą czytał, aby się uśpić. Tam znowu, na biurku leżał papierek biały po usypiającym proszku morfinowym, jakiego użył, idąc na spoczynek. To właśnie było powodem jego marzeń sennych. Gdyż część jakaś musiała tu być sennem marzeniem, ale jaka?... Musiał pomyśleć. Ten strój ślubny był snem napewno. Tak, a może nawet z pewnością, — snem również była obecność jej matki w Bostonie. Nie przypominał sobie, aby pisał do pani Brand od czasu, gdy Magdalena była u doktora Heidenhoffa. Potarł ręką czoło, podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju, szuka-

jąc ratunku w swem oszołomieniu. Wielki Boże, ależ i to było widziadłem również. Ostatnie fale snu odplynęły mu od mózgu, a przed rozbudzoną świadomością jego zarysowały się wyraźne, surowe kształty rzeczywistości, wyruszając się z niejednych obsłonek krainy marzeń. Tak, wszystko było snem. Teraz przypominał sobie, jak to było. Nie był u Magdaleny od przeszłego wieczoru, kiedy zaproponował jej przyspieszenie małżeństwa i kiedy ona w tak dziwny sposób odwołała go ode drzwi, by ją pocałował. Cóż za sen! Ten usypiający proszek to sprawił — on i jeszcze ta książka o elektryczności, i owa dysputa o fizjologii umysłu, którą usłyszał był w wagonie wczoraj przed wieczorem. Te materyjały surowe, tak nieobiecujące, jak niekształtne kawałki szkła, które pięknowidz składa w symetryczne, piękne figury, złożyły się na wytworzenie jego snu.

Dziwny to był sen zaiste — taki, jaki raz tylko lub parę razy przytrafić się może człowiekowi w ciągu życia. Gdy usiłował go sobie przypomnieć, już sen się zacierał w pamięci. Ten pocałunek, dla którego Magdalena go odwołała — był również dość dziwnym, aby stać się częścią szczerego marzenia. Jaka słodycz i jaki smutek był w dotknięciu jej ust. Ach, kiedy już raz będzie jego żoną, lepiej poradzi sobie z jej przygnębieniem. Chciał przyspieszyć małżeństwo. Jeśli można, niech się to odbędzie w tym tygodniu jeszcze.

Zastukano do drzwi. Chłopak, usługujący, wszedł, podał mu jakiś bilecik i wyszedł znowu. Widać było na nim pismo Magdaleny i datę uprzedniego wieczoru. Brzmiał on, jak następuje.

„Odszedłeś w porę. Obawiałam się, całując

ciebie, że odgadniesz moje zamiary, że zrobisz scenę o to i że... o mój drogi, jam tak znużona, że nie mogłabym znieść sceny. Ale tyś się nie domyślił. Wzięłaś pocałunek za obietnicę tego, czem miałam być dla ciebie, gdy tymczasem oznaczał on to tylko, czem byłabym mogła. Biedny, drogi chłopcze, było to trochę niegodnie z twojej strony, żeś się nie domyślił. Czyś przypuszczał, że istotnie pójdę za ciebie. Czyś naprawdę myślał, że ci pozwolę podnieść z bagna różę skalaną i przytulić ją do piersi, kiedy wszędzie tak pełno jest kwiatów świeżych. O, zanadto ciebie kocham, aby to uczynić. Tak, mój drogi, ja kocham cię. Dobrze dochowałam tajemnicy; nieprawdaż?

Widzisz, miłość uczyniła mnie bardziej troskliwą o twoją cześć, niż to było wówczas, kiedy w pierwotnym mym niepokoju rzekłam, że pójdę za ciebie naprzekór wszystkiemu. Ale nie sądz, mój drogi, że skoro cię kocham, ofiarą było dla mnie nie być twoją żoną. Kocham cię prawdziwie, lecz nie mogłabym być szczęśliwa z tobą, gdyż szczęście moje byłoby mi hańbą aż do ostatka. Byłby on zawsze z nami, jak w ciągu tych tygodni męki, które już przeminęły. Kocham cię nie tak, jak kochałam jego, ale lepiej. Sądzę, że może cię zajmie wiadomość, iż tylko ty jeden masz prawo całować mię w snach twoich. Mówię wyraźnie o rzeczach, o których nie rozmawialiśmy nigdy,—bo wiesz, że ludzie mówią otwarcie, kiedy noc zakrywa im twarz, a tem bardziej, gdy wiedzą, iż żaden poranek nie przyjdzie zrumienić wstydem ich oblicza.

Pewna, chłodna dłoń biała spędzi już na wieki purpurę wstydu z mej twarzy, kiedy ty na nią spojrzysz znowu, gdyż nocy tej odcho-

dzę do owego potężniejszego i starszego wy-
bawcy, któremu imię — śmierć. Nie potępiaj
mnie, drogi, i nie mów, że odeszła niepowo-
łana. Czyż tylko wtedy powołani jesteśmy,
gdy śmierć dotknie naszego ciała. O, ja po-
wołana jestem, doprawdy, jam powołana!

Magdalena”.

Koniec.

Z ZAMKNIĘTEMI OCZAMI

PRZEZ

Edwarda Bellamy'ego.

IMASCO IMETIMMAS S

INDEX

Edward Bellamy's

Podróż koleją niewymownie nudna jest dla tych, co nie mogą czytać w wagonie. Do liczby tych nieszczęśliwców ja sam należę również. Dlatego też z ciężkiem westchnieniem usadowiłem się w wagonie, wiedząc, że jedyną rozrywką moją będzie drzemka. Po części dlatego właśnie, po części zaś dla mego zamysłowania w spokojnem życiu wiejskiem bardzo rzadko jeżdżę koleją i jakkolwiek dziwnem to się wyda w naszych czasach, już pięć lat upłynęło od chwili, gdym po raz ostatni jechał „kuryjerem.” Tymczasem w ciągu tego okresu znakomicie zdołano udoskonalić urządzenie wagonów; dlatego też, na razie, dość długo znajdowałem rozrywkę w przyglądaniu się różnym innowacyjom. Jednakże po upływie jakiejś może godziny z zadowoleniem spostrzegłem, że opanowuje mię senność, i miałem już właśnie ukłaść się jaknajwygodniej, gdy wtem poczułem, że ktoś się dotknął mego ramienia. Był to roznosiciel książek, zapytujący mię, czybym nie chciał czego przeczytać; ze złością odrzekłem, że nie czytam w wagonie, i poprosiłem, aby mi dał pokój.

— Przepraszam pana, ale ja panu dam książkę, którą pan będzie mógł czytać z zamkniętymi oczami. Pan jeszcze nie słyszał o tem—do dał on, widząc, że patrzę nań z niedowierza-

niem;—są to książki fonograficzne; od pół roku zaledwie wprowadzono je na drogach żelaznych.

Słowa te niezbyt mię zadziwiły, gdyż w czasach ostatnich wiele czytałem właśnie o rozmaitych zastosowaniach fonografu u nas, w Ameryce. Zpomiedzy mnóstwa proponowanych mi przez roznosiciela książek wybrałem jedną.

— Od jakiego miejsca pan chciałby zacząć?
—zapytał tenże.

Spojrzałem nań zdziwiony.

— Bo może pan już czytał początek—ciągnął on dalej—w takim razie można byłoby nastawić fonograf na ten rozdział, na którym pan się zatrzymał.

Przy tych słowach otworzył malutką skrzyneczkę, przytwierdzoną z boku koło mego siedzenia, wziął odemnie pieniądze za trzy godziny, licząc za godzinę po pięć centów, i poszedł dalej.

Z otwartej skrzynki doszedł mię odgłos dzwonka; za przykładem innych pasażerów, wyjąłem ze skrzynki przyrząd w rodzaju małego widelca, przywiązanego do ściany wagonu i przyłożyłem go do ucha.

W ciągu całych trzech godzin siedziałem, nie ruszając się prawie, tak dalece zajęła mię nowa ta sztuka. Bo jakżem się nie miał zająć, skoro najwyraźniej słyszałem silny głos melodyjny, który po mistrzowsku z wszelką możliwą modulacją ciągnął swoją opowieść! Po upływie trzech godzin, kiedy roznosiciel przyszedł dla zamknięcia skrzynki, nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia mu swego zachwytu. W odpowiedzi na to zawiadomił on mnie, że, poczynając od przyszłego miesiąca, zaprowadzone będą w wagonach fonograficzne przewodniki o mechanizmie zegarowym, który dzwonić będzie w chwili przebie-

gania pociągu przez jakąś godną uwagi miejscowość; fonograf udzielać będzie przytem wszelkich o niej wiadomości statystycznych, historycznych i t. p. Dzięki takiemu urządzeniu podróż koleją stanie się czemś bardzo zajmującym. Objasnienia roznosiciela przerwał jakiś głos, jasno i wyraźnie oznajmiający, że pociąg zbliżał się do miejsca, do którego jechał. Oglądałem się na wszystkie strony, chcąc zobaczyć tego, co mówił; widząc to, roznosiciel zauważył z uśmiechem: „To nasz nowy *enuncyjator*.”

Przed odjazdem otrzymałem list od przyjaciela mego Gawła, który mię zawiadamił, że spotka mię na stacyi. Zapewne coś zatrzymało go w domu, gdyż nie przyjechał; ponieważ zaś było już późno, udałem się do hotelu i położyłem się spać. Wskutek zmęczenia zasnąłem prędko i mocno. Parę razy zdawało mi się, że w pokoju moim ktoś rozmawia; nakoniec ocknąłem się i wystraszony, uniosłem się na łóżku. Mrowie przeszło mię po grzbiecie: całkiem wyraźnie słyszałem dźwięczny głos młodej jakiejs kobiety, rozlegający się w pobliżu łóżka.

— Mój drogi—mówiła ona—rad będziesz zapewne dowiedzieć się, że teraz jest trzy kwadransy na trzecią.

Oślupiałem; siedząc przez kilka chwil nieruchomo w łóżku, nie mogłem pojąć w żaden sposób, zkad się wzięła ta młoda kobieta.

Nareszcie domyśliłem się, że był to tylko przyrząd jakiś mechaniczny, powiadamiający o godzinie. Jednakże, tak byłem wzruszony, że zapalił światło i obejrzałem pokój; nie było tam, rzecz jasna, młodej kobiety, lecz natomiast znajdował się zegar, na który nie byłem zwrócił uwagi, gdyż nie miał w sobie nic szczególnego. Kiedy wskazówka dosięgła godziny trzeciej, posłyszałem znowu ten sam

głos, oznajmiający mi, że „teraz jest trzecia.” Zgasilem światło i położyłem się znowu. Ale w żaden sposób nie mogłem zasnąć, przysłuchując się temu głosowi bezcielesnemu, który co kwadrans oznajmiał mi godzinę, za każdym razem czyniąc to w innej formie.

Salomon miał słuszość mówiąc, że niema nic nowego pod słońcem. Sardanapal i Semiramida nie zdziwiliby się z pewnością ani trochę, słysząc głos ludzki, zwiastujący godziny; fonografy zastępował im niewolnik, który, stojąc przy wodnym zegarze, głośno oznajmiał godzinę.

Nazajutrz zrana udałem się przedewszystkiem do hotelowego kantoru, aby się dowiedzieć, czy nie było listu od Gawła, który wiedział, że się zatrzymam w tym właśnie hotelu. Sekretarz podał mi podłużną skrzyneczkę, a widząc, że patrzę na nią w niepewności, powiedział: Pan zapewne jest cudzoziemcem; pokażę panu, jak pan ma przeczytać swój list. Oddałem mu skrzynkę. Wyjął on ztamtąd jakieś cewki i walce i zręcznie wsunął je w inną skrzynkę, stojącą na biurku; przyłożyłem do ucha nieobce mi już widełki akustyczne i natychmiast posłyszałem znajomy mi głos Gawła, który wynurzał swój żal z powodu, iż nie mógł mię spotkać. Obiecywał mi, że przyjdzie podczas śniadania.

Sekretarz wyjął walce, znowu włożył je do skrzyneczki podłużnej i oddał mi mój list.

— Jednakże--powiedziałem--niezbyt przyjemną jest rzeczą otrzymywać takie listy, kiedy się niema pod ręką maszynki do odczytania ich.

— Zdarza się to rzadko—odpowiedział sekretarz—wszyscy prawie mają szczególny a niezbędny przyrząd—„indispensable.”

— Cóż to jest?—zapytałem.

W odpowiedzi sekretarz wskazał mi futerał, jakgdyby do binokli, który wszyscy nosili, zawieszając go sobie u pasa.—Pan sam przekona się o niezbędności jego—dodał sekretarz.

W jadalni ogólnej przy śniadaniu ujrzałem wielu mężczyzn i kobiet, którzy czytali, albo raczej słuchali swojej korespondencji rannej. Przed każdym nakryciem leżały kopki małych szkatuleczek. Chcąc przeczytać list, wyjmowało się z nich walce, kładło się do swego indispensable'a i podnosiło się do ucha. Niezmiernie ciekawem było przytem badanie wyrazu twarzy tych, co czytali; pod wpływem znajomego im głosu, mieniła się ona daleko więcej, niż przy czytaniu listu zwykłego. Widziałem, jak na obliczu czytających wyrażały się: zdziwienie, niezadowolenie, smutek i radość.

Kiedym zamówił śniadanie, służący przyniósł i postawił przedemną jakąś dziwną szkatułkę podłużną z akustycznymi widełkami, poczem odszedł. Przyłożyłem widełki do ucha i natychmiast posłyszałem wyrazy: „Daily Morning Herald”; domyśliłem się, że była to gazeta. Przykro mi było zwracać się do sąsiadów po wskazówki, a tymczasem nie wiedziałem zupełnie, jaki guziczek mam nacisnąć, aby przeczytać to, co chciałem. Na los szczęścia posunąłem wskazówkę, obracającą się na osi pośrodku szkatułki i, ku wielkiemu memu zadowoleniu, dowiedziałem się o wszystkich nowinach dnia. Tak dalece pochłaniała mię gazeta, że zupełnie zapomniał o śniadaniu. Tymczasem nadszedł Gawel i usiadł tuż przy mnie. Powiedziałem mu, iż przyrząd mię zachwyca i że jedno mi tylko w nim się nie podoba: oto trzeba było wysłuchiwać, między innemi, wiadomości wcale nie zajmujące.

— Bynajmniej — odrzekł Gawęł, wskazując mi jeden z guzików szkatułki—potrzeba go tylko było nacisnąć, a fonograf zaczynał mówić bardzo szybko, tem prędzej im silniej się guziczek naciskało. Jeżeli się natrafiło przy tem na jakieś miejsce ciekawe, przestawało się naciskać, a przyrząd mówił wówczas wolniej.

Kiedym opowiedział Gawłowi o swojej nocej przygodzie z zegarem, parsknął głośnym śmiechem. Bardzo się cieszę, żeś mi o tem powiedział. Do odejścia pociągu, którym pojedziemy do mnie, pozostaje nam jeszcze dwie godziny. Użyjemy tego czasu na obejrzenie zegarmistrzowskiego zakładu Ortona: zobaczymy tam wszelkie możliwe zegary mówiące. Istotnie, było co widzieć u Ortona. Gospodarz był przyjacielem Gawła i bardzo uprzejmie pokazywał nam wszystko.—Zegary bijące—mówił—wychodzą obecnie z mody, ustępują miejsca zegarom fonograficznym.—Gawęł opowiedział mu o mojej przygodzie nocej: ten również śmiał się do rozpuku. Szczyście pana, zauważył przytem, że to był prosty zegar fonograficzny; inaczej mógłbyś się pan śmiertelnego nabawić strachu.

Przekonałem się później o słuszności słów jego, gdym obszedł cały zakład. Większość zegarów tak była urządzona, że obok godziny wygłaszały one zarazem jakąś sentencję. Można tu było widzieć: zegary filozoficzne, religijne—różnych sekt i wyznań, literackie i poetyckie, wolnomysłne i nawet trywialne. Długo, aż do oszołomienia, słuchałem różnych przeróżnych sentencyj, nakoniec ucieszyłem się wielce, wszedłszy do oddziału „filozoficznego.” Było coś kojącego, orzeźwiającego w wyrzeczeniach Platona, Epikteta, oraz innych mędrców. Co do zegarów literackich, to liczba ich była olbrzy-

mia. Samych tylko zegarów „z Dickensem” było z pół tuzina. Kiedym zrobił uwagę, że, pomimo swej strony interesującej, zegary te mogą w końcu dokuczyć, powtarzając ciągle to samo, gospodarz przekonał mię, że cylindry fonograficzne można było wyjmować z zegarów i zastępować innemi—z innego dzieła, albo pisma.

— Wyobrażam sobie—rzekłem—jaką rozkoszą zegary takie mogą być dla osób chorych, zwłaszcza zaś dla cierpiących na bezsenność; z drugiej jednak strony, kiedy się chce spać, wszak wszystkie te zegary mówiące mogą przeszkadzać?

— Nie, kto się do nich przyzwyczai, tak samo nie zauważy ich słów, jak i bicia zegarów zwyczajnych. Zresztą dla uniknięcia wszelkiej możliwej przykrości dla chorych, do zegarów przytwierdzony jest mały drążek, przy pomocy którego można je łączyć albo rozłączać z fonografem. Jeżeli się postawi w sypialni zegar mówiący lub śpiewający, to zazwyczaj łączy się go za pomocą drutu elektrycznego z guziczkiem u wezglówia łóżka przytwierdzonym — w ten sposób, nie podnosząc nawet głowy, można zatrzymać albo puścić w ruch przyrząd fonograficzny.

Oglądając zegary, zabawiliśmy zbyt długo w zakładzie i teraz oto zdążaliśmy szybko w kierunku dworca. W drodze posłyszałem nagle jakiś dźwięk muzyczny, bardzo wyraźny, jakkolwiek niezbyt donośny, a wychodzący, jak się zdawało, z indispensable'a wiszącego u pasa mego przyjaciela. Gawęł zatrzymał się naraz, oddalił się nieco, podniósł przyrząd do ucha i powiedziawszy: O, tak, ma się rozumieć, znowu go opuścił. Wytłómaczył mi później, iż obiecał żonie przywieźć książek dla dzieci i oto

właśnie indispensable przypomniał mu o tem. Dzięki przyrządowi temu, nikt już nie obarcza dzisiaj swej głowy obowiązkiem pamiętania o tem lub owem; wszystko wkłada się na barki inslispensable'a. Potrzeba tylko było wstawić do aparatu walec fonograficzny, na którym napisane było to, o czem należało pamiętać, a następnie ustawić przyrząd na daną godzinę. W czasie oznaczonym aparat zadzwoni, i podniósłszy go do ucha, posłyszycie to, o czem mieliście przypomnieć. Dla ludzi bardzo zajętych przyrząd ten jest nieoceniony. Dzięki jemu żony mogły teraz dawać najbardziej zawile polecenia mężom—odnośnie do tualety swej i do modniarek. W tym celu żona przy śniadaniu brała indispensable swego męża, szeptała weń wszystko, co chciała, by mąż spełnił albo kupił dla niej w mieście.

W ten sposób—zauważyłem—gdy żona zapragnie, aby mąż powrócił o pewnej godzinie z klubu albo z teatru, ma tylko powiedzieć o tem indispensable'owi takim tonem i takimi słowami, jakie najbardziej mogą wpłynąć na męża. Wynalazek bardzo dowcipny i zapewne bardzo się podoba damom. Ale jak sądzisz, czyż nieprawda, że wynalazca, jeśli był nim mężczyzna, postąpił sobie bardzo nieopatrnie: wszak teraz mężowie nie mają ucieczki przed despotyzmem żon?...

Gawęł zaśmiał się, ale śmiech jego dzwijał jakoś nienaturalnie; wywnioskowałem ztąd, że uwaga moja musiała w nim zbudzić wspomnienia niezbyt przyjemne. Ale, jako człowiek charakteru żywego, rychło otrząsnął się ze smutku i począł mi dowodzić, jak wielkie przysługi przyrząd ten świadczył ludziom roz-targnionym, do jakich ja sam również należę.

Indispensable niemniej niezbędny jest dla pisarzy. Jakże dogodnym jest naprzykład, jeśli w nocy, gdy przyjdzie im do głowy jakaś myśl szczęśliwa, którą pragnęliby przechować dla potomności, mogą szepnąć ją w przyrząd, wiszący przy łóżku; nie potrzebują wówczas wstawać i niepokoić innych dla zapisania myśli.

Postanowiłem bądź co bądź zaopatrzyć się w indispensable.

Gaweł, przypomniawszy sobie o książkach przyobiecanych, wstąpił do księgarza. Było to coś niezwykłego, coś takiego, czegom nigdy nie widział.

Zamiast książek na ladach i półkach leżały szeregi małych szkatułek.

— Prawie wszystkie książki są teraz fonografowane—zauważył Gaweł.

— Jednakże, dzięki tej zmianie, książki musiały wejść teraz w szerokie użycie — zauważyłem, sądząc z liczby kupujących, którzy wprost oblegali kontuary.

— Nie są to kupujący, lecz tylko abonenci—odparł Gaweł. Wytłomaczył mi przytem, że dzisiejsze książki fonograficzne nie mogły się psuć tak jak dawniejsze księgi drukowane, i dlatego za czytanie ich brało się bardzo mało, co też dawało możliwość korzystania z nich prawie wszystkim. Zwróciłem uwagę na to, że książki fonograficzne w żaden sposób nie mogą zastąpić książek ilustrowanych; ale i tym razem byłem w błędzie. Na przodzie fonografu wprowadzona była szybka, za którą stopniowo — odpowiednio do przebiegu opowiadania, roztaczała się panorama rysunków, mających związek z książką fonograficzną.

Poszliśmy też z Gawełem do oddziału, gdzie sprzedawano książki. Zauważyłem, że kupu-

jących było stosunkowo niewiele, oraz że próbowali oni kilku fonografów, zanim zdecydowali się na kupienie książki. Wydawało mi się to niezrozumiałem, gdyż treść kupowanej książki była zawsze jednaka. Gawel wytłumaczył rzecz całą. W fonografach ton, oraz sposób wypowiedania treści dzieła odgrywały taką samą rolę, jak papier, czcionki i oprawa w książkach drukowanych. Sam przekonałem się o tem. Subjekt pokazywał mi rozmaite fonografy tej samej książki: odzywały się one już sopranem, już kontraltem, już barytonem, już wreszcie basem, a przytem z intonacją całkiem odmienną. Spostrzegłem teraz, że wybór książki fonograficznej bynajmniej nie był tak łatwy, jakby się zdawało—trudniejszym być może od wyboru drukowanej książki. Gawel powiedział mi, że wszyscy lubownicy piśmiennictwa zaopatrywali się w jakie sześć egzemplarzy jednej książki.

— Proszę pana—zwrócił się on do subjekta—niech też pan pokaże memu przyjacielowi Otelę trupy but-baretyjskiej. Uważasz—zwrócił się do mnie—jest to wierne odtworzenie całej sztuki w takiej postaci, w jakiej dawano ją na scenie.

Subjekt zdjął z półki skrzynkę fonograficzną i postawił ją na kontuarze. Przednia część szkatułki wyobrażała scenę ze spuszczoną kurtyną. Za ledwie przyłożyłem do ucha widełki akustyczne, subjekt nacisnął jakiś guzik szkatułki, kurtyna się podniosła i spostrzegłem obraz, dokładnie przedstawiający scenę pierwszą. W tej że chwili posłyszałem głosy aktorów tak wyraźnie, że nawet szept ich mię nie omijał. W miarę przebiegu sztuki, obrazy, sceny zmieniały się; postacie, rzecz jasna, były nieruchome, ale za to pozy ich zmieniały się

tak często, że się doznawało złudzenia najzupełniejszego.

Jam wielki lubownik sztuki dramatycznej; ponieważ jednak bywanie w teatrze tak męczy, a nadto wiąże się z tyloma niedogodnościami, więc rzadko kiedy robię sobie tę przyjemność. Dlatego też łatwo zrozumieć, że żadne z zastosowań fonografu nie sprawiło mi tyle uciechy. Gaweł wszedł do innego pokoju, gdzie kupował książki, kiedy zaś powrócił, ja jeszcze siedziałem nad fonografem, jak oczarowany, nie mogąc się od niego oderwać.

— No, dość już, dość—rzecze mój przyjaciel—chodźmy na górę, pokażę ci coś jeszcze. Mam w domu całego fonografowanego Szekspira; będziesz mógł napawać się nim przez noc całą.

Gaweł miał w rękach kilka paczek; dla żony kupił nowy jakiś romans, dla dzieci powiastki, a oprócz tego nabył indispensable dla swego syna.

— Nikomu — rzekł, fonografy nie wyświadczyły tylu usług co rodzicom. Teraz matki nie bywają już zmuszone zrywać sobie gardła, czytając lub opowiadając dzieciom bajki w czas pochmurny. Postaw tylko przed najgorszym szłaflawią fonograf z powieściami dla dzieci, a możesz być przekonany, że się nie ruszy z miejsca, dopóki starczy opowiadania. Co zaś do niemowląt, to u mnie np. kołysze je do snu sama Patti. Kiedy dziecko wyrasta i wychodzi z pod bezpośredniej opieki matki, to i wówczas jeszcze przy pomocy fonografu przypomina mu ona o sobie.

— Wyobrażam, jakie mnóstwo tych przyrzędów psują i gubią dzieci, szczególnie chłopcy.

— Gaweł przyznał się z uśmiechem, że w ciągu miesiąca kupuje już czwarty fonograf dla syna.

Zapytałem wreszcie, co się stało z drukarniami. Pytanie zajmowało mię przez dzień cały.

— Było z niemi, w swoim czasie, bardzo a bardzo źle; ale pewne książki dotąd jeszcze drukowane są jak dawniej. Z tem wszystkim sztuka czytania i pisania stanie się z czasem osobliwością.

— Czyżby w szkołach nie uczono już dzieci czytać i pisać?

— Nie, tymczasem wykłada się to jeszcze— ponieważ jednak tak po wyjściu ze szkoły, jak nawet w szkole samej, gdzie wszystkie podręczniki są fonografowane, uczniowie nie często mogą ćwiczyć się w czytaniu i pisaniu, więc rychło zapomina się to, tak samo, jak np. język grecki. Teraz właśnie wszczęto kwestyję, aby czytanie i pisanie zostało wyłączone z liczby przedmiotów wykładowych w szkole. Prawdopodobnie jednak przyjdą do wniosku, że trzeba będzie wykładać tę naukę tylko podług nowej metody fonetycznej, opartej na bezpośredniem przesyłaniu fal dźwiękowych. Uczni, oraz ludzie, trudniący się rozmaitemi badaniami, będą musieli posiadać sztukę czytania, gdyż księgi dawniejsze nie zostaną chyba sfonografowane, a to dzięki temu, iż niewielu interesuje się niemi.

— Jednakże—zauważyłem, dopóki w użyciu pozostaną całe drukowane zdania— w postaci tytułów, napisów, szyldów i t. p...

— Prawda, ale bardzo łatwo jest zastąpić je fonograficznemi i prawdopodobnie nastąpi to z czasem, gdyż liczba umiających czytać zmniejszać się musi z dniem każdym.

— Powiedziałeś, jak sądzę, że nawet podręczniki szkolne są fonografowane?

— Tak, dzieci nasze ucą się teraz z fonografu.

— To ci dopiero sztuka!

— Jednakże, niema w tem nic dziwnego— odparł przyjaciel. Zamiast uczyć się przy pomocy wzroku, ludzie ucą się przy udziale słuchu; na tem kończy się cała różnica. Muszę ci jeszcze powiedzieć, że nietylko zecerzy i wogóle ludzie pracujący w drukarniach, pozostali teraz bez chleba; dzięki fonografowi ten sam los spotkał specjalistów, wyrabiających i sprzedających szkła optyczne. Do czasu wynalezienia ksiąg fonograficznych wzrok wyteżano straszliwie; teraz, kiedy część pracy spadła na organ słuchu, można spodziewać się znakomitej poprawy wzroku. Jeżeli wierzyć mamy fizyjologom, to nietylko wzrok poprawi się przez to, ale cały organizm, a nawet postawa ludzka. Teraz ci, co czytają wiele, albo piszą, nie są zmuszeni prowadzić życia siedzącego, dzięki któremu miewało się krzywy kręgosłup albo ramiona zgarbione. Dzięki fonografowi można teraz rozwijać umysł, nie wykoszlawiając ciała.

Jak wielkich przewrotów dokona ten przyrząd! Dawniej ślepotą pozbawiała człowieka możności czytania książek, z których jednak mogli korzystać głusi; teraz będzie naodwrot.

Tak, jest to godne uwagi; chociaż co do głuchych, to się mylisz. Dzięki ulepszeniom najnowszych, tylko osoby jaknajzupełniej głuche nie mogą korzystać z książek. Dla nich, naturalnie, będzie się drukowało książki, tak samo, jak to czyniono dotąd—dla ślepych.

Rozumując w ten sposób wsiedliśmy do windy i rychło znaleźliśmy się na piętrze górnem,

gdzie Gawęł chciał mi pokazać nowy sposób fonografowania książek—coś w rodzaju roboty drukarnianej. Dzieła dramatyczne fonografowano, naturalnie w teatrze, w czasie przedstawienia, podobnie też mowy wszelkich kaznodziei i mówców fonografowano podczas wygłaszania ich; ale książki wogóle fonografowane były przez wyłącznych specjalistów, których posiadała każda znaczniejsza księgarnia. Przyjaciel mój znał jednego z takich przedstawicieli sztuki fonograficznej i zaprowadził mię do jego pokoju. Na szczęście nie był wówczas zajęty. Pracownia jego przedstawiała widok szczególny. Z kształtów podobna była do jajka tępo zakończonego. W końcu węższym, na samym środku umieszczony był pulpity fonografisty, a przed nim stał szereg fonografów. Byli to jego słuchacze. Ale przy pomocy drutów telefonicznych słowa jego dosięgały też innych fonografów, umieszczonych w pokojach innych, w dowolnej odległości...

W ten sposób, pewnego razu, fonografowano za jednym zamachem do 5,000 książek.

Zrobiłem uwagę, że książki fonograficzne muszą kosztować bardzo tanio, gdyż teraz nie potrzeba już ponosić wydatków na drukowanie ich, oprawę i t. p.

Tak, zapewne, byłoby też istotnie, gdyby będący w modzie specjaliści, jak np. mój przyjaciel, nie cenili swej pracy straszliwie drogo. Publiczność tego oto pana uważa np. za najlepszego i nie chce kupować żadnych książek, gdy nie przez niego są fonografowane. Dla tego też wszyscy autorowie zwracają się do niego, a wydawcy muszą mu płacić, ile zażąda.

— Fonografista się roześmiał. Kuj żelazo,

póki gorące — rzekł — kto wie, w roku przyszłym inny specjalista może wejść w modę, a wówczas ja spadnę z etatu. Zresztą, nie uwierzy pan, jak wiele jest roboty przy fonografowaniu książek. Kiedy np. otrzymuję dzieło jakiego autora...

— W rękopisie?

— Tak, czasem napisane jest sposobem fonetycznym, niekiedy, przy pomocy fonografu; biorę je wówczas do domu, zaczynam studyjować przez dni kilka, tydzień, dwa tygodnie, stosownie do rozmiarów i doniosłości książki. Zdarza się, że studyjuję dzieło przez całe dwa miesiące, a to aby się całkowicie przejąć jego poglądami i odtworzyć je w tonie należyтым. Wszystko to jest bardzo trudne i kosztuje dużo.

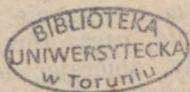
Rozmowę naszą przerwał mój przyjaciel, który naglił mnie do pośpiechu—na pociąg. Jakóż podążyliśmy na kolej.

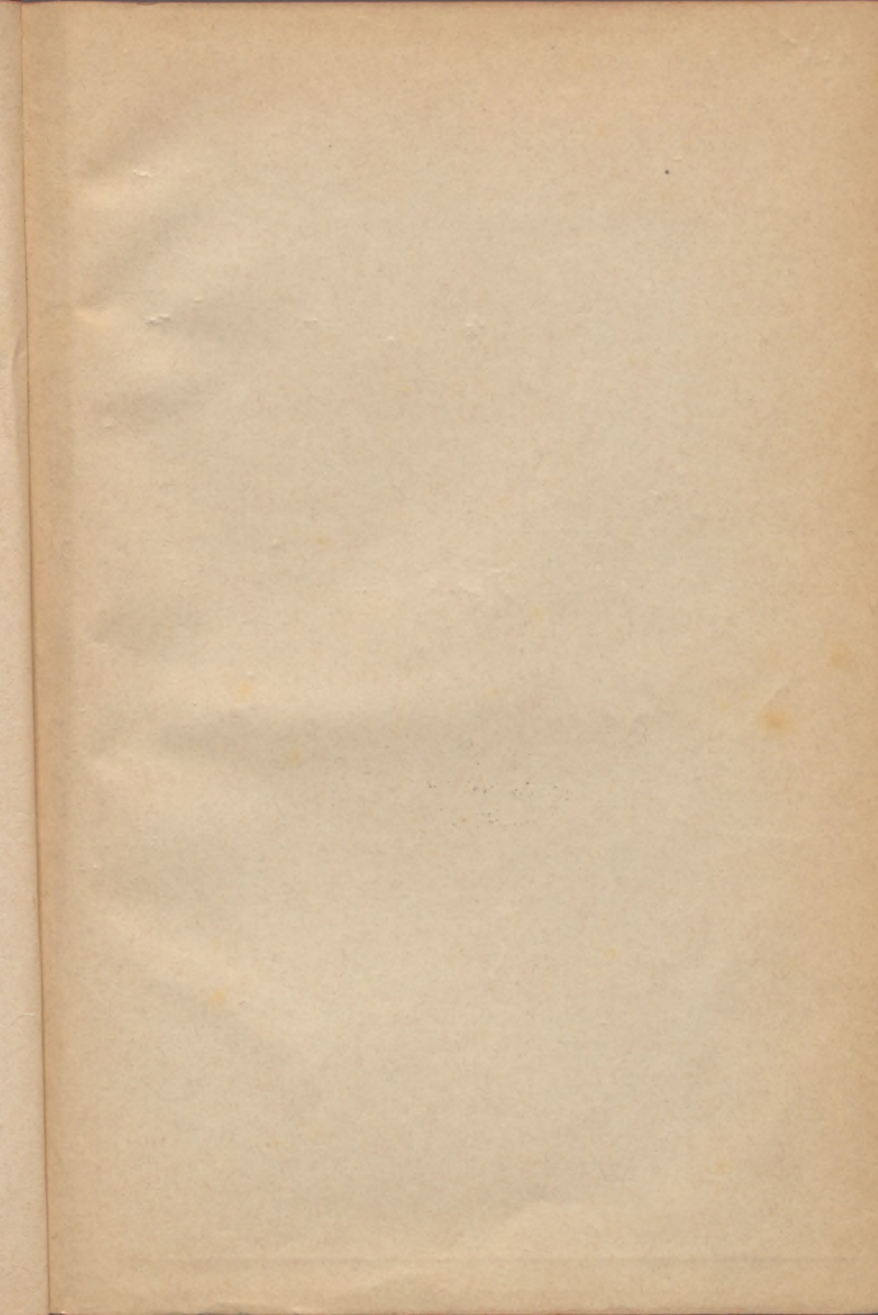
Nic a nie nie pamiętam, co się działo w domu Gawła. Obudziłem się z twardego snu, gdyż pociąg się zatrzymał, a w wagonie powstał, zwykły przy wychodzeniu pasażerów, rwetes. Gawła nie było... Kiedy, zbierając moje manatki, gubiłem się w domysłach, gdzie mógł się podziać przyjaciel, tenże wpadł nagle do wagonu i radośnie zaczął witać się ze mną. Jużem był otworzył usta, aby się go spytać co znaczy to przywitanie, ale, opamiętawszy się, nie powiedziałem nic. Uderzyło mnie to, że się znajdował w tym samym wagonie i na tejże kanapie, co i przy wyjeździe z domu. Był już wieczór, tymczasem do Gawła miałem niby przyjechać w dzień. To też ani słówkiem nie wspomniałem, o czasie, który z nim razem spędziłem.

Kiedym tegoż wieczora był już w mieszka-

niu Gawła, ani gospodarz, ani gospodyni nie mogli zrozumieć, dla czego ja ni ztąd ni zowąd zaczynał nagle śmiać się, jak szalony. Musiałem też w końcu przyznać się im do wszystkiego.

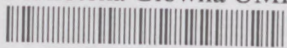
Z tego wypływa wniosek, rzekli oni, że gdybyś pan częściej do nas przyjeżdżał, podróż koleją nie wywoływałaby takiego zamieszania w pańskiej głowie.



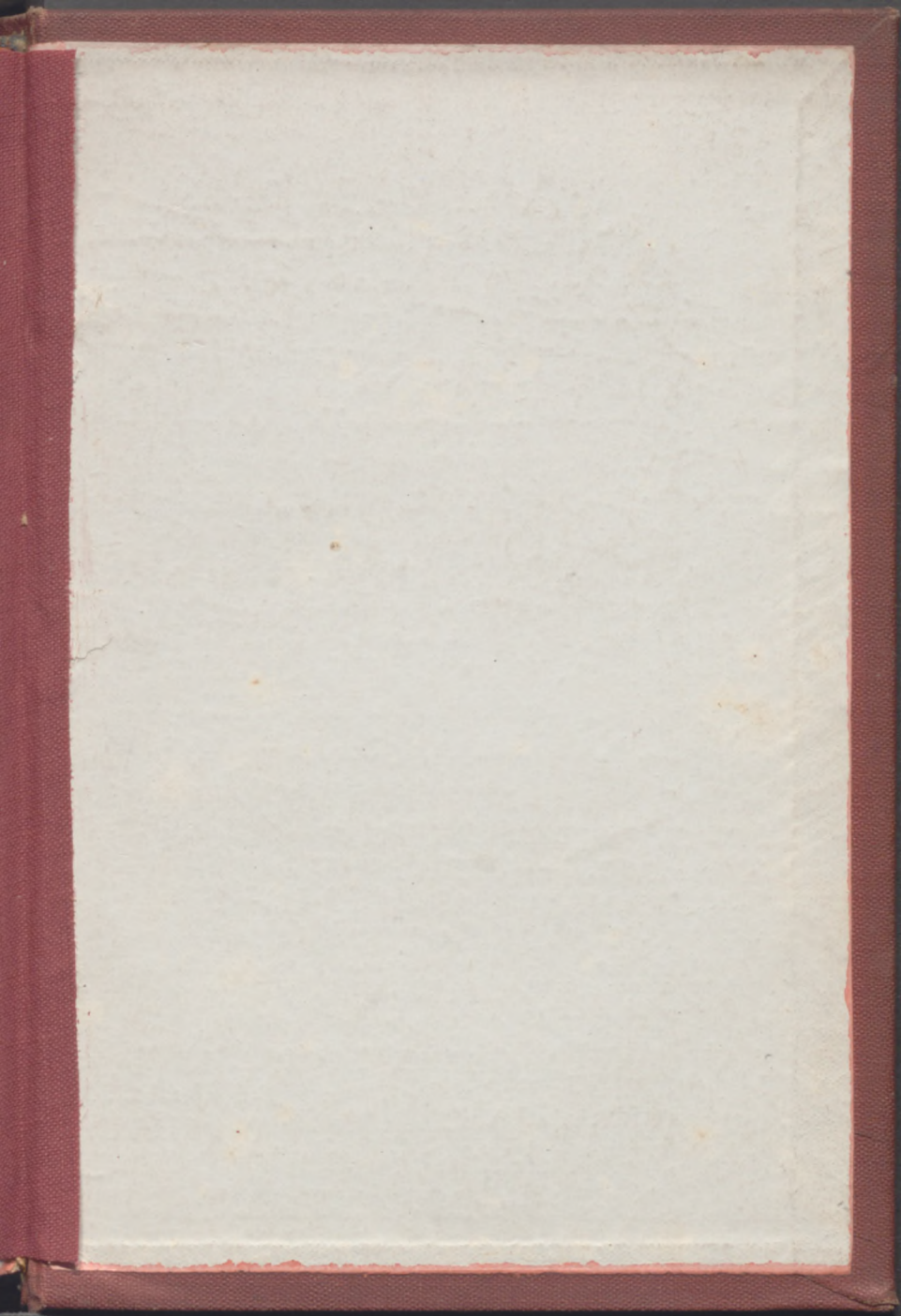


401

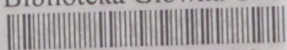
Biblioteka Główna UMK



300050463681



Biblioteka Główna UMK



300050463681

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1339654

KŁOCZEK

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1339655